



Fot. Świat — J. Kosidowski

DZIŚ 32 STRONY

**W NUMERZE M. IN. J. ANDRZEJEWSKI — MŁODOŚĆ PLANU
SZEŚCIOLETNIEGO ● A. SŁONIMSKI — POŻEGNANIE MINIONEGO STULECIA
● B. WIERNIK — WIDZIAŁEM „BRUDNĄ WOJNĘ” ● E. KARŁOWICZ — DA-
REMNY OPÓR PUSTYNI ● GRA ŚWIĄTECZNA ● KONKURS Z NAGRODAMI.**

NR 22—23

23—30 GRUDNIA 1951

CENA 1²⁰ ZŁ

O PELCOWIZNIE

Nowy Rok 1952

— Podaj mi dłoń, kochana,
Podaj mi ręce, bracie!
Pić będziemy do rana,
Żebyśmy otrzymali pracę!

Łkały harmonie Pelcowizn,
Barak marzył od tygodni —
Zaczyna się rok nowy
Starego roku godny.



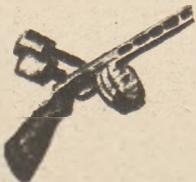
Ta sama była troska,
Nie chciała wcale odejść
Jak gdyby z annopolska
Przymierać zwykła głodem.

Biła pora północna.
Klął na mrozie policjant.
— Nędzo, nędzo o oczach
Sanacyjnego szpicla!

Walczył dumny Annopol,
Wołało czarne przedmieście
O świt, co wszędzie robotą,
Dni, co przybliżą szczęście.

Pochód zachrypił i krwawił,
Kule sztandar posiekły.
Szli bezrobotni Warszawy
Groźni i nieulekli.

W czas, co był ciężki, jak ołów
I jak żelazo twardy,
Dziewczyna na Annopolu
O Ludowej śpiewała Gwardii.



Front do Wisły się zbliżał,
Piękniała wolna Wisła;
Narzeczony — partyzant
Granaty na wroga ciskał.

A zanim usnął — marzył
I na biwaku wzdychał.
Noc — żołnierski towarzysz —
Rzewna bywa i cicha.

Lecz krzepła żołnierska wola.
I myśli, jak strumień czyste:
Baraki Annopola
Znikną z ziemi ojczystej.

Noce serdecznych gwiazd
Nad dywizją w pochodzie
Szły do wiślanych miast,
Lśniły w wiślanej wodzie.

Czuwał Annopol. Nie spał.
I dziewczyna nie spała.
Wolność do ludzi podeszła
I z nimi pozostała.

* * *

Kto szedł za wrogiem w pościg
Temu dziś nie żal dłoni —
Żołnierzem jest przyszłości
Żołnierz bojów minionych.

Gdy giełdy za oceanem
Knują przeciw ojczyźnie —
Trzeszczą co dzień łamane
Normy na Pelcowiznie.

Gwiżdże syrena poranna,
Dymią na Wiśle statki.
Idzie załoga Żerania
Marszrutą sześciolatki.

Przyszłość — to nasza wola,
Droga, którą idziemy:
Baraków Annopola
Nie będzie na naszej ziemi.

Lud, co miasta rozjaśnia,
Umie dotrzymać słowa —
Ruszyła żerańska taśma,
Zwarła się pięść rusztowań.

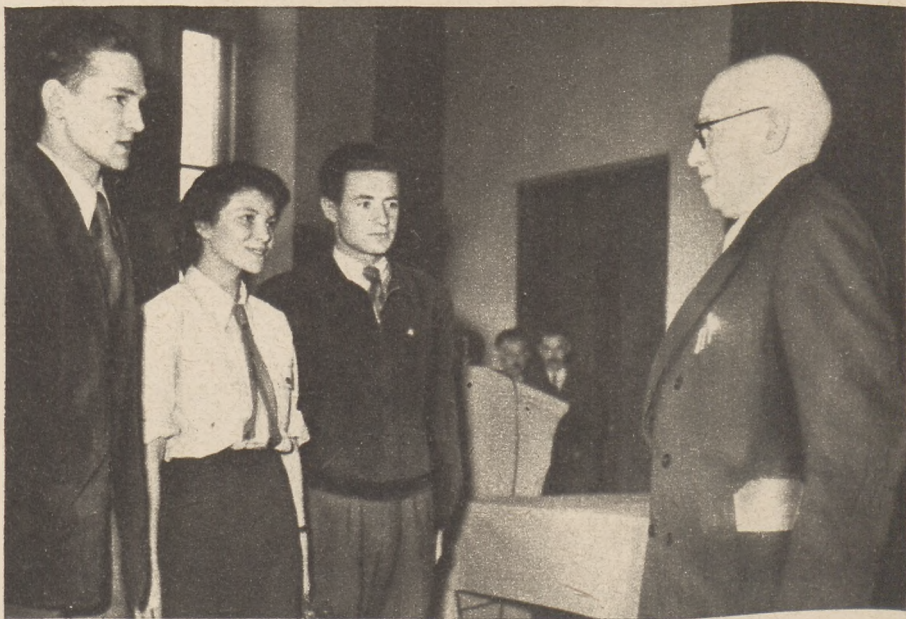
Taką rusztowań pięścią
Z betonu i ze stali
Przodownicy przedmieścia
Nowy Rok powitali.



WSZYSTKIM CZYTELNIKOM „ŚWIATA“
SERDECZNE ŻYCZENIA NOWOROCZNE

składa Redakcja

F. FIEDLER — DOKTOREM HONORIS CAUSA U. W.



W sali Kolumnowej Uniwersytetu Warszawskiego odbyła się uroczystość wręczenia dyplomu doktora honoris causa zasłużonemu działaczowi rewolucyjnemu — F. Fiedlerowi. Młodzież akademicka wręczyła F. Fiedlerowi kwiaty.

WRĘCZENIE MIĘDZYNARODOWEJ NAGRODY POKOJU



J. Kosidowski

W Uniwersytecie Warszawskim odbyła się uroczystość wręczenia Wandzie Jakubowskiej, twórczyni filmu „Ostatni Etap“, Międzynarodowej Nagrody Pokoju.

PRZECIWKO REMILITARYZACJI NIEMIEC



CAF

We Wrocławiu odbył się zjazd duchownych i działaczy katolickich z całej Polski. Zebrani podjęli uchwały piętnujące remilitaryzację Niemiec zachodnich oraz ogłosili apel, w którym wzywają rodaków za granicą do użycia wszystkich wpływów celem utwierdzenia i umocnienia granicy pokoju na Odrze i Nysie.

NA SESJI ONZ



Przewodniczący delegacji radzieckiej, min. Andrzej Wyszyński w rozmowie z przewodniczącym delegacji polskiej min. Stefanem Wierbińskim i przewodniczącym delegacji ukraińskiej M. Baranowskim, podczas przerwy w obradach.

ZBROJENIA I POWÓDŹ



Młodzież włoska demonstrowała na ulicach Rzymu i innych miast włoskich, protestując przeciwko wydawaniu miliardów na zbrojenia, podczas gdy ofiary powodzi w dolinie Padu pozostają bez pomocy a rząd de Gasperiego nie podejmuje robót regulacyjnych, tłumacząc się rzekomym brakiem funduszy na ten cel.

GO HOME, HERR ADENAUER



Londyn, -w grudniu

DWAJ hitlerowscy oficerowie w pełnej gali pojawili się nagle na Fleet Street w samo południe, dnia 5 grudnia. Przepychając się brutalnie przez tłum, kroczyli sztywno ulicą. Zdumione twarze przechodniów rozjaśniały się uśmiechem zrozumienia dopiero wtedy, gdy wzrok ich padł na rozdawane przez nieoczekiwanych przybyszów ulotki. Widniały na nich słowa: „Go home, Herr Adenauer“ — (Wynoś się pan, panie Adenauer!)

Była to jedna z licznych demonstracji, zorganizowanych przez angielskich obrońców pokoju przeciwko „kancelarzowi“ Trizonii podczas jego wizyty w Londynie. Nie wiem, jaka jest grubość skóry pana Adenauera, ale wnosząc z jego zachowania się, musi być pokaźna. Choć bowiem na każdym kroku spotykał się z wrogimi okrzykami i powodzią anty-hitlerowskich ulotek—przez cały czas pobytu w Londynie nie opuszczał go bezczelny tupet.

Dwaj przebrani za hitlerowców demonstranci z Fleet Street powędrowali wkrótce do komisariatu. Ale już po chwili w innym miejscu miasta rozbrzmiewały znowu okrzyki przeciwko Adenauerowi. Jesz-



cze gorętsze przyjęcie zgotowali nieproszone-mu gościowi studenci uniwersytetu w Oxford. Okrzyki „Precz z remilitaryzacją!“, „Wracaj do siebie!“ nie ustawały. A na murach i parkanach czerniły się wrogie napisy wymalowane grubo olejną farbą.

Za to oficjalny Londyn zgotował panu Adenauerowi przyjęcie naspikowane bankietami, przyjęciami i herbatkami. Na Downing Street, w rezydencji premiera przedstawiono mu członków nowego gabinetu. Gdy tylko auto Ade-

nauera zajęchało przed dom, natychmiast posypał się deszcz wrogich ulotek. (Zdjęcie dolne). Churchill był natomiast czarujący (zdjęcie środkowe): „Mein Liebchen, was willst du noch mehr?“ (Kochanie, czegoś ty jeszcze chcesz?) — mówił jego oczy i gesty. Obecny był zresztą także Mr. Attlee, jakby dla zadokumentowania, że polityka konserwatystów i labourzystów w sprawie remilitaryzacji Niemiec zachodnich nie różni się ani na jotę.

M. S.





DNIA 21 GRUDNIA CAŁA POSTĘPOWA LUDZKOŚĆ OBCHODZI 72 ROCZNICĘ URODZIN WODZA OBOZU POKOJU, GENERALISSIMUSA JÓZEFA STALINA.

Miliony ludzi Związku Rad i krajów idących drogą socjalizmu tworzą świat nowy, niosąc w sercach i na ustach imię: STALIN.

Ludowa armia chińska wypędza ze swego kraju przemoc obcą i niewolę pieniądza i kroczy naprzód z imieniem STALINA.

W Vietnamie, Burmie, na Wyspach Malajskich, bojownicy wolności, niepodległości i sprawiedliwości walczą przeciw kolonizatorom wołając: STALIN!

Górnicy francuscy trwają w strajkach i wyciągają głonie na wschód z okrzykiem: STALIN!

Chłopi włoscy zajmują obszarnicze nieużytki i, odpędzani gwałtem, wołają: STALIN!

Poeta wypędzony ze swej ojczyzny za umiłowanie wolności i sprawiedliwości społecznej, piękny poeta chilijski pisze poemat o STALINIE.

Zmiażdżona okrutnie Warszawa dźwiga swe

okrwawione cegły tym szybciej z imieniem STALINA.

Wszędzie na świecie, gdzie sięga przemoc pieniądza, bagnet żoldaka i pałka policjanta, ludzie walczą i będą zwyciężali z imieniem STALINA.

Setki milionów ludzi wołają: STALIN! STALIN! STALIN!

(W. Broniewski, wyjętek z poematu „Słowo o Stalinie”)

MŁODOŚĆ PLANU SZEŚCIOLETNIEGO

JERZY ANDRZEJEWSKI

ROK pięćdziesiąty pierwszy dobiega końca. Tym samym nasz Plan Sześcioletni kończy w tych dniach dwa lata. Przyrównując czas naszej wielkiej narodowej sześciolatki do życia człowieka, cóż moglibyśmy o jej obecnym wieku powiedzieć i jak ten wiek wypadłoby określić?

Nasz Plan Sześcioletni poza sobą niebawem zostawi trzecią część swego istnienia. W stosunku zatem do przeciętnej długości życia ludzkiego nasz Plan, podobnie jak dziewczyna lub chłopiec dwudziestoletni, oddycha teraz najczystsza młodością. Dwa lata. Jakiż to krótki okres czasu! A rok? Nasz miniony rok? Ilu wszakże osiągnąć w ciągu owych dwunastu miesięcy dokonać zdołała młodość sześciolatki!

To jej rozmach wznosił mury warszawskich osiedli robotniczych i MDM-u. Jej zapal wyprowadziły na szosy z Żerania i Lublina nowe polskie samochody. Jej ofiarność zapłonęła światłami elektrowni dychowskiej i blaskiem nowych wielkich pieców martenowskich „Częstochowy“, „Kościuszkii“, „Batorego“ i „Bobrka“.

Jej siła uruchomiła Wizów i piotrkowski kombinat włókienniczy. Jej dalekowzroczność budowała u ujścia Świny bazę dalekomorskiego rybołówstwa i oddała do użytku portu szczecińskiego największy w Europie taśmowiec. Jej twórcza wytrwałość torowała drogę spółdzielniom produkcyjnym. Jej dojrzałość otwierała nowe przedszkola i szkoły, biblioteki, stadiony, domy towarowe i szpitale. Jej wreszcie patriotyzm towarzyszył górnikom i hutnikom w ich ciężkiej pracy; chłopom, gdy w akcjach siewnych i skupów wywiązywali się ze swych zobowiązań; uczynom, kiedy na Kongresie Nauki Polskiej ofiarowali narodowi swoją wiedzę i doświadczenie. To on — ów gorący patriotyzm — towarzyszył w codziennej pracy wszystkim Polakom i Polkom walczącym o pokój.

Czymże są jednak rozmach, zapal i ofiarność, siła i dalekowzroczność, wytrwałość i patriotyzm młodzieńczej sześciolatki? Czy nie są to siły narodu? Czy młodość naszego Planu nie wspiera się na mocnych fundamentach młodości narodu i czy to nie nasz naród jest natchnieniem i twórcą dokonujących się u nas przemian? Rzecz jasna, że tak.

Naród polski, już po raz drugi na przestrzeni dwóch lat minionych, zdaje swój wielki i rozległy egzamin. Trudny, ponieważ wszyscy, którzy w swoich zawodach i na swoich stanowiskach pracą rąk i umysłów zdajemy egzamin z Planu Sześciolletniego, nie żyjemy w świecie łatwym. Przeciwnie: naszym trudnym zadaniem i obowiązkiem towarzyszy dzień po dniu ogromna ilość wydarzeń i to wydarzeń tak różnych i sprzecznych, jak twórcze siły ludzi radzieckich, przemieniające azjatyckie pustynie w urodzajne pola, sprzeczne są ze zbrodniami popełnionymi w Korei.

W ciągu roku, który mija, mocniej i ostrzej, niż w którymkolwiek z lat powojennych, zaznaczyła się w świecie linia podziału. Po jednej stronie, cyfrowo przeznaczonym na produkcję czołgów, pocisków i bomb, przybywa zer, jak piany w pysku przybrywa wściekłemu psu. Po drugiej stronie, na

wszystkich kontynentach i we wszystkich krajach wzrasta liczba ludzi składających podpisy pod Apelem Pokoju. Po jednej stronie prezydent Truman podpisuje stumilionowy czek na finansowanie zdrajców, szpiegów i szubrawców. Po drugiej stronie Józef Stalin odwołuje się do narodów, do mas ludowych, które obronią pokój, jeśli „ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju“.

Po stronie przemocy, wyzysku, hoduje się troskliwie hitlerowską bestię snującą rojenia o krwawym

pochód wolnej młodzieży całego świata w dniu wielkiego Złotu w Berlinie.

Tak więc nie jest łatwy, lecz trudny i pełen sprzeczności świat, w którym przyszło nam dzisiaj kształtować nowe oblicze naszej ojczyzny. Wiemy, że siły pokoju są wielkie. Lecz równocześnie wiemy, że zbrodnia działalności Trumanów i Eisenhowerów groźna jest dla pokoju, dla wolności i ludzkiej pracy. Wiemy, że ludzkość nie znajduje się nad przepaścią, w którą musi się nieuchronnie stoczyć. Wiemy, że ludzkość stoi mocno na nogach.

Lecz również zdajemy sobie sprawę, że żyje i gorączkowo działa grupa ludzi, którzy dla swych zaborczych celów i dla zaspokojenia żądzy zysków, chcieliby faszystowski nóż wepchnąć ludzkości w plecy. Po to jednak właśnie młodością narodu wspieraliśmy i budowaliśmy drugi rok Planu Sześciolletniego, aby rosnące siły obozu postępu stale wzmacniać i naszą własną siłą rosnącą.

Gdy jednak mowa o trudnościach w skali światowej, czy znaczy to, że na naszym terenie trudności nie istnieją? Wiemy, że trudności na naszym terenie istnieją i w nich przejawia się również linia podziału coraz wyraźniejsza. I tak, gdy po jednej stronie tej linii stoi naród, który pod kierownictwem klasy robotniczej i partii w Narodowym Froncie walki o pokój i Plan Sześciolletni przekształca się w naród socjalistyczny, po drugiej stronie znajdziemy jeszcze jednostki w rodzaju Kirchmayera lub Bańczyka. Tu miłość ojczyzny i postęp. Tam — zdrada i wstecznicstwo. Po jednej stronie mamy w Polsce kulaków, lecz po drugiej stronie mamy masy pracującego chłopstwa oraz sojusz robotniczo - chłopski, który umacnia się i dojrzewa. Mamy wśród młodzieży jednostki zdemoralizowane, nawet zbrodnicze. Lecz młodzież polska w swej zbiorowości coraz żarliwiej i powszechniej walczy o swoje czyste oblicze ideowe i moralne. Mamy emigrantów wewnętrznych, lecz mamy także i przede wszystkim, miliony bezpartyjnych, skupiających się wokół władzy ludowej. Dużo jest jeszcze wśród nas bierności i sobkostwa, chciwości i karierowiczostwa. Lecz coraz powszechniej kształtuje się w ludziach nowy, socjalistyczny stosunek do pracy, do człowieka, narodu. Są ludzie, któ-

rzy załamują się na trudnościach. Lecz jeszcze więcej mamy takich ludzi, którzy na trudnościach się uczą i wśród trudności rosną.

Są więc i u nas sprzeczności. Walka toczy się u nas. Walka zacięta i na każdym odcinku życia. Lecz po to właśnie młodością narodu wspieraliśmy i budowaliśmy drugi rok Planu Sześciolletniego, aby rosnące siły „nowego“ wzmacniać i ugruntowywać, a słabnące pozostałości „starego“ osłabiać i niszczyć.

Za kilka dni nasz Plan Sześciolletni zacznie trzeci rok życia, wejdzie więc w wiek, który stać się dla niego powinien progiem lat męskich. I chociaż pełną dojrzałość, dojrzałość podstaw socjalizmu, osiągnęła nasza sześciolatka dopiero za lat cztery — nam już dzisiaj pora myśleć o takim zmobilizowaniu umysłów, dłoni i serc, abyśmy naszą własną rosnącą dojrzałością jak najlepiej służyli mogli naszemu dziełu, naszej dumie — Planowi Sześciolletniemu w jego trzecim roku życia.



odwecie nad Odrą i Wisłą, Oką i Wołgą. Po stronie nowych domów Stalingradu i Warszawy rośnie w siły niemiecka klasa robotnicza, giną pozostałości po faszystowskich rządach i umacnia się granica pokoju na Odrze i Nysie.

Tam, po tamtej stronie — brudna wojna w Wietnamie, lincze i elektryczne krzesła dla niewinnych Murzynów oraz grabież cudzych surowców. Tu, po naszej stronie — wyzwolony z niewoli wielki naród chiński, walczący lud Korei i ruchy wolnościowe ogarniające coraz silniejszym płomieniem kraje Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Pod rządami producentów broni — bezrobocie i nędza mas pracujących, pałki policyjne dla protestujących i więzienia dla zbuntowanych. Pod rządami ludu — lud gospodarzem swych ojczyzn. Po jednej stronie przemarsz morderców z frontu koreańskiego pod paryskim Łukiem Tryumfalnym. Po drugiej stronie —

ROK 1951



Rok 1951 był rokiem zaostrej walki pomiędzy obozem pokoju, któremu przewodzi Związek Radziecki, a obozem wojny, na którego czele stoją Stany Zjednoczone. Oto prezydent Truman wraz z doradcami przygotowuje jedno ze swych wojowniczych przemówień. Były tak agresywne, że słusznie przyrównywano je do mów Hitlera. A za przemówieniami szła równie agresywna polityka.



To nie Warszawa w roku 1945 lecz Phenian w roku 1951. Jak widać, metody imperializmu amerykańskiego nie różnią się niczym od metod imperializmu hitlerowskiego. Najazd amerykański na Koreę miał być wstępem do rozpętania nowej wojny światowej. Ale bohaterzy ludu Korei przy braterskiej pomocy ochotników chińskich nie ugiął się przed napastnikiem. Opór, na który najeźdźcy natrafili w Korei, uniemożliwił im rozszerzenie agresji na Dalekim Wschodzie. Ale barbarzyństwo w Korei, cyniczne nadużywanie firmy ONZ, przewlekane rokowań rozejmowych — wszystko to świadczy, że władcy Stanów Zjednoczonych uparcie dążą do narzucenia ludzkości nowej wojny, że tak jak Hitler, pragną zdobyć panowanie nad światem. Jednakże opór narodów przeciwko agresywnej polityce podlegaczy wojennych wzrasta z każdym dniem.



Pod okiem amerykańskich instruktorów szkolą się kadry nowego „Wehrmachtu”. Sojusz dolara ze swastyką pchnął Niemcy zachodnie na drogę remilitaryzacji. Bankierzy z Wall Street wespół z magnatami przemysłowymi Zagłębia Ruhry i hitlerowskimi generałami szykują nową wojnę. Z pomocą adenauerów i schumacherów rozpętali hecę odwetową, nawołując do zaboru ziem za Odrą i Nysą.



Setki tysięcy Irańczyków demonstrują na ulicach Teheranu przeciwko anglo-amerykańskim kolonizatorom. Lud Iranu wyrwał bogactwa swego kraju z rąk brytyjskich kapitalistów. Przykład Iranu porwał do walki inne narody Bliskiego Wschodu. Egipcjanie wystąpili przeciwko okupacji brytyjskiej strefy Kanału Sueskiego i Sudanu. Do walki stają masy ludowe Iraku, Maroka, Tunisu i innych krajów kolonialnych.



Ale knowaniom agresorów przeciwstawia się skutecznie ruch pokoju. Całym światem wstrząsnął proces francuskiego marynarza Henri Martina, który wystąpił przeciw „brudnej wojnie” w Vietnamie.



Ponad dwa miliony przedstawicieli młodzieży wszystkich krajów zgromadził Zlot Berliński. Była to najpotężniejsza demonstracja młodzieży w obronie pokoju. A zarazem był to protest przeciwko remilitaryzacji Trizonii. Młodzież niemiecka wraz z całym narodem walczy o zjednoczenie swego kraju na gruncie pokoju i demokracji. Walce tej przewodzi Niemiecka Republika Demokratyczna.

Dwukrotnie w r. 1951 — w lutym i październiku — rozbrzmiał z Moskwy głos człowieka, który jest Chorażym Pokoju i sumieniem ludzkości. Słowa Stalina: „Pokój będzie zachowany i utrwalaony, jeśli narody ujmą w swe ręce sprawę zachowania pokoju i będą broniły jej do końca” oraz „Agresora należy spotkać w pełnym uzbrojeniu” stały się programem wszystkich obrońców pokoju.



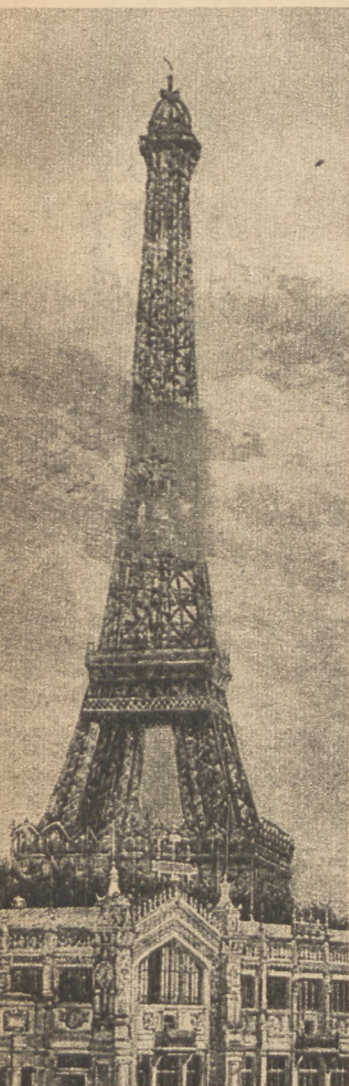
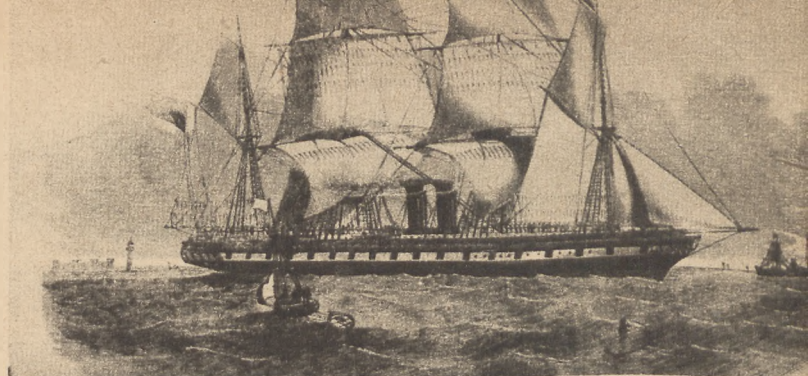
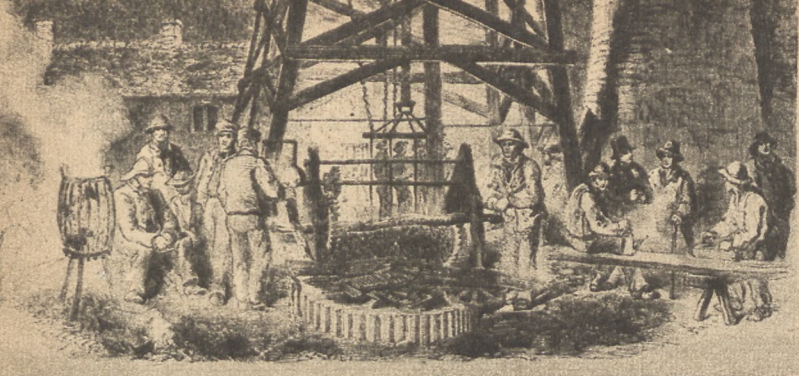
Na wezwanie Światowej Rady Pokoju przeprowadzona została na całym świecie akcja zbierania podpisów pod Apelem Pokoju, nawołującym do zawarcia Paktu Pokoju między pięciu wielkimi mocarstwami. Ponad pół miliarda ludzi zaświadczyło swymi podpisami, że narody pragną pokoju, nie chcą wojny!



Wyzwolony z jarzma imperializmu naród chiński pod wodzą Mao Tse-tunga przystąpił do tworzenia nowego życia. Olbrzymie roboty przy regulacji rzek uchronią kraj przed powodzią i użyźnią pola. Imperialiści amerykańscy spiskują przeciwko bezpieczeństwu Chin i przygotowują remilitaryzację Japonii.

Tysiące takich maszyn pracują na wielkich budowlach komunizmu w ZSRR, na budowlach socjalizmu w krajach demokracji ludowej. Kanał Wołga - Don, kanał Dunaj - Morze Czarne, Nowa Huta, Witkowiec — setki miejscowości stały się polem pokojowych bitew o szczęście i dobrobyt człowieka. Rośnie potęga ZSRR i krajów demokracji ludowej a z nią potęga całego obozu pokoju.





POŻEGNANIE MINIONEGO STULECIA

ANTONI SŁONIMSKI

Był Rossetti.
I były krawaty Wilde'a,
I wieża Eiffla sięgająca nieba.
A dla dzieci,
Pracujących w kopalniach,
Pajda zgniłego chleba.

Wśród lampionów, w manetowskim ogrodzie,
Młody doktor z brodą
Tłumaczy pannie w tiurniurze,
Taine'a podróże do Włoch,
Ze nic nie ginie w naturze,
I że Pasteur i Koch.
I płynął pełen entuzjazmu,
Brodaty, bufiasty, okrągły
Jak balon rozweselającego gazu,
Wiek dziewiętnasty.
Znali przecież dzieje Jean Valjeana
I czytali ze łzami Dickensa.
Jakże mogli nie widzieć,
Jakże mogli nie liczyć,
Chleba, mleka i mięsa.
Rosły ciemne miliony,
Nie dożywione
Mnożyły się
Siły ciemne,
W slumsach Londynu,
W Bronxach, u paryskich hal,
Na Pelcowiznach świata,
A wielka bogata ojczyzna
Żelazo zmieniała w stal,
W colty, winchestry,
Światła rzuciła nad miasta,
I jak balon
W górę, przy dźwiękach orkiestry,
Płynął wiek dziewiętnasty.

Napoleońskie złote pszczoły
Burbońska zwabiła lilie.
Już nie pamiętał świat wesoły
Ze kiedyś padła Bastylia.
Były krzywdy dawne zatarte
I zapomniane wnet.
Jakaś sprawa daleka,
Jakieś prawa człowieka.
Po Generale Bonaparte
Generał Lafayette.

Płynęli po powierzchni słów
W powozach miękkich, w lśniących landach,
Przez bruk, co zamiast kocich łbów
Miał banie lśniące wielkich głów,
Dzieci z Belfastu,
Z Newcastle,
Z blacklandu.

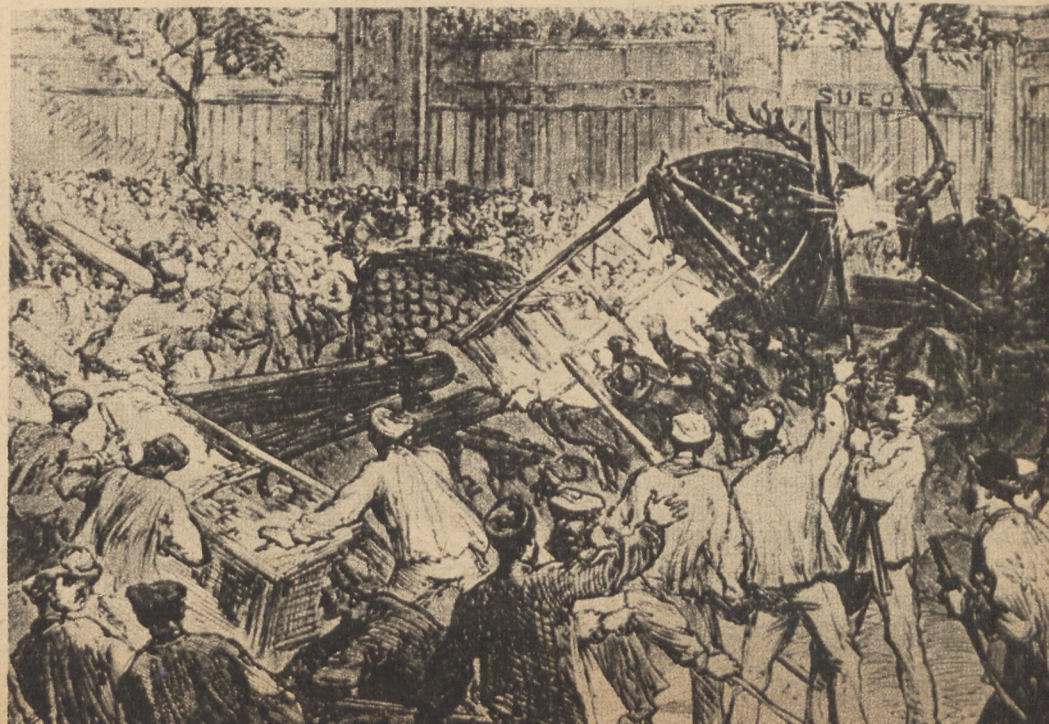
Różowy goździk w butonierce,
Lorda Douglasa,
I łaska wielkopańska
I secesyjny salon,
I pluszowe ozdoby.
Serce
Lekkie jak balon,
Jak stanża Moreasa.
Wielka byłaś, Anglio wiktoriańska,
Ojczyzno angielskiej choroby!
Wiek elektryczności
I wieku pary,
Wieku wiary w człowieka,
Pośród twoich śliczności
Nowy aktor wszedł na arenę.
Wykarmiony krzywdami,
Nie znający litości,
Już sen z oczu wam spędza,
Już się pyta o cenę
Szczęśliwego, spokojnego snu,
Domowego, cichego ogniska.
Jaka jego ojczyzna,
Jakie jego nazwisko?
Ojczyzna jego: Nędza.
Imię jego: Tłum.

Na ogrodach królewskich się tłoczy
Niezliczony, wszechobecny, ogromny,
Powrozy kręci
I kule toczy
Głodny, gniewny, bezdomny,
Już nie wyrwiesz go z oczu
Już nie wyrwiesz z pamięci

Słyszysz jak szumią te fale?
Głos woła:
Więzy skruszę!
Podpalę świat
Czerwienią pierwszych majów!
Łączcie się proletariusze
Wszystkich krajów!

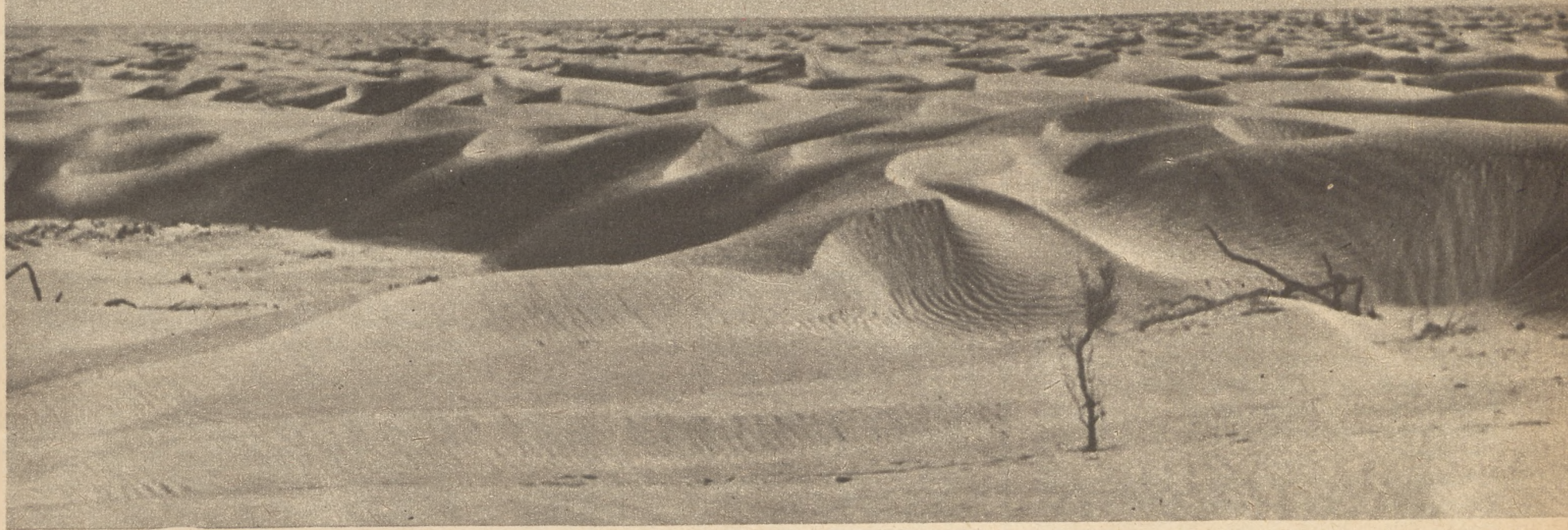
Z cichych rozmów, wśród lampionów, w muzyce,
Z tych radości, których świat nie skąpił,
Z czarnych szybów, z dalekich faktorii
Przyniósł nagle wiatr te stronicie
Historii,
Ten groźny: „dalszy ciąg nastąpi”.

Oto minął wiek dziewiętnasty,
Jak młodość niepełnoletnia,
Gniewny mój bracie,
Płyn z falą!
Rzuć tę przeszłość jak worek balastu.
Patrz. W górze w gwiazdzistej szacie
Czeka noc letnia.



DAREMNY OPÓR PUSTYNI

EDWARD KARŁOWICZ



12

WRZEŚNIA 1950 roku opublikowana została uchwała Rady Ministrów ZSRR o budowie Kanału Turkmeńskiego i nawodnieniu wielkich obszarów pustyni Kara Kum. Poniżej podajemy kilka cyfr, charakteryzujących skalę podjętych już prac. Główny Kanał Turkmeński będzie miał 1100 km długości i przejdzie od hydrowężla Tachia - Tasz nad Amu-Darią przez pustynię Kara Kum do Morza Kaspijskiego. Przy zaporze Tachia-Tasz i na trasie Kanału powstaną elektrownie wodne o łącznej mocy 100.000 kilowatów. Boczne kanały irygacyjne o łącznej długości 1200 kilometrów poprowadzą wodę na pustynne obszary.

Realizacja tych prac wymaga wykonania robót ziemnych o łącznej objętości 500 milionów m³ oraz robót betonowych i żelazobetonowych w rozmiarze 2.500.000 m³. Ogólny front budowy ma długość 1500 kilometrów i przechodzi przez terytorium Republiki Uzbekkiej, Turkmeńskiej oraz Kara-Kalpackiej Republiki Autonomicznej.

Zbudowanie Kanału i sieci irygacyjnej umożliwi nawodnienie 1.300.000 ha. Na obszarze tym będzie uprawiana bawełna i owoce podzwrotnikowe. Poza tym 7 milionów hektarów pustyni zamieni się w bogate pastwiska. Nad kanałami i wokół osiedli i plantacji stworzona będzie sieć leśnych pasów ochronnych o łącznej powierzchni 500 tys. ha.

Budowa Kanału i urządzeń pomocniczych zakończy się w r. 1957. Do tego czasu produkcja bawełny w Turkmenii wzrośnie ośmiokrotnie, w Republice Kara-Kalpackiej — sześciokrotnie. Równocześnie zwiększy się kilka razy wydobycie bogactw mineralnych Turkmenii: ropy naftowej, węgla, slarki, soli mineralnych.

„Niewielkie łopatkami z cichym szelestem zdrapywały warstwę piasku. Suche pędzle bez szmeru oczyszczały powierzchnię ścian tej na wpół zasypanej twierdzy. Spod narzędzi archeologa począł się wyłaniać prymitywny, ale wyraźny rysunek. I nie było żadnych wątpliwości: tu, w samym sercu pustyni Kara Kum, o setki kilometrów od najbliższych osiedli, malowidło ściennie w jednej ze starożytnych, zaspanych piaskiem twierdz, przedstawiało winobranie i zbiór owoców brzoskwini.

Fantazja artysty sprzed 2 tysięcy lat? Nie. W tych miejscach rzeczywiście kwitło niegdyś życie. Jeszcze dziś Turkmeni mówią o zamierzonych czasach, kiedy od jeziora Aralskiego do Morza Kaspijskiego koty mogły przejść po dachach i płotach.

ZDRADA „WŚCIEKŁEJ RZEKI“

Niegdyś płynęła do Morza Kaspijskiego. Dziś niesie swe mętne, rudawo-szare fale do jeziora Aralskiego. Amu-Daria — to po turkmeńsku „Wściekła

Rzeka“. Nazwa to zupełnie uzasadniona. Amu jest kapryśna, zmienna, okresami gniewna.

Jak to się stało, że Amu-Daria zmieniła bieg, że „skróciła się“ o dobry tysiąc kilometrów? Wiele teorii tłumaczy przyczyny tego faktu, który miał miejsce w historycznych już czasach. Najbliższą prawdy jest ta, która szuka przyczyn w samej Amu-Darii. Otóż rzeka ta niosła i niesie ogromne ilości piasku i mułu. Przez stopniowe zamulanie swego koryta Amu spływała je — i część wody poczęła płynąć w prawo, do kotliny jeziora Aralskiego. Przez pewien czas rzeka miała dwa ujścia — aż wreszcie całkowicie „zakorkowała“, zatkała piaskiem koryto wiodące do Morza Kaspijskiego.

Niewątpliwie pewien wpływ na przyspieszenie tego faktu miały wypadki historyczne, jakie rozegrały się w średniowieczu w dolinie Amu-Darii.

Otóż władcy Chorezmu — miasta i państwa nad środkową Amu-Darią — toczyli wojnę z plemionami koczowniczych Turkmenów, nie uznających ich władzy. Pragnąc zniszczyć nieposłusznych sąsiadów — Chorezmijczycy pogłębiali boczny, aralski odpływ Amu, zatykając i zawałając równocześnie odpływ kaspijski płynący przez Turkmenie.

Tak więc Amu-Daria zdradziła. Wyschłe koryto, zwane obecnie Uzboj, zasypały częściowo wędrowne piaski; urodzajne i zamieszkałe dawniej ziemie pochłonięta bezlitosna pustynia — Kara Kum.

STARY KURBAN SCHODZI Z NIEBIOS

Deszcze w Turkmenii są bardzo rzadkie. Nad pustynią przez cały dzień świeci słońce, a całą noc nieprzerwanie jaśnieją gwiazdy. W takie gwiazdziste turkmeńskie noce szczególnie jasno świeci na niebie pas Mlecznej Drogi.

Starzy Turkmeni nazywają Mleczną Drogę „Kurban-Baba-Joli“, co oznacza: „Ścieżka Starego Kurbana“ — i opowiadają następującą legendę:

Mleczna Droga — to ścieżka, po której chodzi staruszek Kurban ze swym jednogarnym wielbłądem. Kurban wiezie na nim w jukach bezcenny skarb — czas. Gdy znajdzie miejsce, gdzie będzie mógł złożyć swój kosztowny ładunek — zejdzie na ziemię i wtedy przez pustynię Turkmenii popłyną rzeki.

Turkmeni marzą o wodzie. Mieszkają w kraju, który ma większe nasłonecznienie, niż gaje pomarańczowe we Włoszech, który ma miejscami lepszą ziemię, niż pszeniczna Ukraina. A tymczasem dziewięć dziesiątych powierzchni Turkmenii zajmuje pustynia. Tylko dlatego, że nie ma wody.

Wodę znalazł rząd Kraju Rad. Przyniesie ją Amu-Daria, którą ludzie radzieccy skierują z powrotem

Dokończenie na str. 28



„W każdej kotlinie siedzi geolog“. Ci, których widzimy na zdjęciu, badają skały w jarze Achcza-Kaj.

Miasteczko namiotów na trasie Kanału Turkmeńskiego. Mieszkają tu geolodzy, którzy pomagają budowniczym rozwiązać trudne problemy surowcowe.



Oto sojusz nowoczesnych aparatów pomiarowych i dwugarnego „okrętu pustyni“. Grupy pomiarowe przemierzają przestrzeń Kara Kum na wielbłądach.



CO DAĆ W UPOMINKU?

TRADYCYJNE ŚWIĘTA, czyli takie, jakie dawniej obchodzone były w bardzo wielu rodzinach, przypominały złą symfonię. Najpierw było wiele hałasu przygotowań, które na tydzień zamieniały ciche skądinąd domy w piekła, a potem zjadało się zapasy w parę godzin i już było po wszystkim. Zostawała tylko nuda, zgaga i pytanie: na co komu to było potrzebne?...

A ze Świętami może być tak, jak z wybraniem dobrego koncertu. Można urządzić je w sposób miły i świadczący pochlebnie o kulturze człowieka: w miarę ciepła rodzinnego, w miarę wypoczynku, urozmaiconego interesującą lekturą, czy muzyką.

Chyba, że jest się warszawiakiem. Wtedy co innego!... Warszawiacy bowiem należą do gatunku wędrownych ptaków. Dlatego, skoro zbliżają się choćby tylko 2 dni świąt, warszawiak pakuje walizkę i wyjeżdża, gdzie się da, najchętniej do Zakopanego. 10 godzin spędza na stojąco w zatłoczonym przez warszawiaków pociągu, potem natychmiast staje na 6 godzin w ogonku do kolejki linowej na Kasprowy, zjeżdża w kilka minut na nartach z Kasprowego i resztę czasu zużywa już wyłącznie na ogonek po bilet do Warszawy i na powrotne stanie przez 10 godzin w pociągu. Kiedy go pytają w Warszawie, jak spędził święta, odpowiada śmiertelnie zmordowany i wymiętoszony, lecz z zachwytem: „wspaniale!”

Niestety na nartach nie jeżdżę, do Zakopanego nie wybieram się i przeto zwracam się tylko do tych spośród Was — którzy lubicie wypoczynek, lekturę i muzykę. Chcę ułatwić Wam życie przez poradę, co można dać bliskim w świątecznym upominku.

Złośliwcy lubią korzystać z takich okazji, żeby obdarowanym dokuczyć. W tym celu ofiarowują np. starej ciotce smyczek do wiolonczeli twierdząc, że pocieranie smyczkiem po krzyżu znakomicie wpływa na reumatyzm. Obok złośliwców istnieją szlampowcy. Ci dają przyjacielowi butelkę wódki, jego żonie paczkę cukierków, a 16-letniej córeczce nuty pierwszego z brzegu modnego tanga. Znałem jeszcze przed wojną niewinne dziewczę, które w skutkach takiego prezentu siadało do pianina i z zapałem śpiewało: „Mój kochanek to bandyta, łotr i zbój!”

Dzisiaj tang z gatunku „Nie odchódź ode mnie!” szczęśliwie nie ma, zaś upominki w rodzaju wódki i cukierków świadczyłyby o braku wyobraźni i lenistwie umysłowym obdarowującego. Dlatego pomysłmy o czymś ciekawszym, a ze względu na tę rubrykę — muzycznym!

Istnieje wstawione Polskie Wydawnictwo Muzyczne, o którym pomówimy sobie wkrótce obszerniej. Otóż PWM wydało śliczne album wybranych pieśni Moniuszki. Jeśli Twój krewny lub przyjaciel lubi śpiewać, możesz nabyć te pieśni w każdym „Domu Książki”. Niektóre z pieśni Moniuszki są tak proste, że nadają się do śpiewania również przez amatorów.

W wypadku, gdybyś chciał dać upominek chłopcu, lub dziewczynie, należącym do jakiejś młodzieżowej organizacji, to możesz kupić im zbiór najpiękniejszych piosenek ludowych i masowych pt. „Gai-czek zielony”, opracowanych przez B. Rutkowskiego. Te śliczne drobiazgi można śpiewać chóralnie na 1, 2 i 3 głosy.

A teraz coś z ciekawej lektury. Czy znasz świetną powieść A. Winogradowa pt. „Potępienie Paganiniego”, opowiadającą o życiu najślawniejszego ze skrzypków? — Gdybyś nawet jej nie znał, to zaufaj mi i podaruj ją komuś z Twoich bliskich w upominku.

Jeśli ten ktoś jest obeznany z muzyką na tyle, że lubi czytać o niej nie tylko powieści, to kup mu monografię A. Chybińskiego pt. „Mieczysław Karłowicz — kronika życia artysty i tatarnika”. Wreszcie możesz nabyć cenną i ciekawą monografię St. Łobaczewskiej pt. „Karol Szymanowski — życie i twórczość”, ale to już dla kogoś o dużym wyrobieniu muzycznym.

Te projekty nie wyczerpują oczywiście, listy możliwości. Chciałem tylko zwrócić Twoją uwagę — Czytelniku — na typ upominków nie banalnych, a mogących przyczynić się do rozwoju kulturalnego Twego otoczenia.

No to — Dosiego! — Śpiewamy teraz chórem: „Sto lat, sto lat!” — Tylko nie fałszować! Zaczynać razem na „trzy” i z tonu „g”!

JERZY WALDORFF

SPOTKANIE PO WĘDRÓWKACH

TADEUSZ JACKOWSKI — JERZY ROS

ZBIĘCIA CAF — „ŚWIAT”

ROS. — Ty i ja włóczyliśmy się wzdłuż i wszerz Polski. Niewiele jest chyba miejsc w kraju, gdzie nie szukalibyśmy noclegu.

JACKOWSKI — Daj spokój noclegom, to nie jest najweselszy temat na święta.

R. — Zawsze mi przerywasz. Nie o noclegach chcę mówić. Tak się złożyło, że nieomal wszystkie najważniejsze wydarzenia bieżące w kraju obserwujemy osobiście. Jak uważasz? Czy pod koniec roku nie powinniśmy zbilansować naszych obserwacji?

J. — O bilansie nie może być mowy! Przede wszystkim dlatego, że nie posiadamy buchalteryjnych umiejętności. Po wtóre — nie starczyłoby na to całego numeru „ŚWIATA”. Zastanów się tylko...

Czyż możemy ogarnąć wszystko? Wicepremier Minc mówił o 296 obiektach w Planie 6-letnim — hutach, kopalniach, elektrowniach itd. Licząc tylko tydzień na dziennikarskie omówienie jednego obiektu, musieliśmy na to zużyć... 5 lat! A przecież raport musi być gotowy za kilka dni.

R. — Nie wdawaj się w zawile rachunki. Jasne, że pracy jednego, najbardziej nawet ruchliwego dziennikarza nie starczy, by uchwycić na gorąco i opisać to wszystko, czego dokonuje się dziś w Polsce. Nie o takim bilansie myślałem.

Byliśmy w tym roku na wielkich budowach. Ty byłeś w Nowej Hucie i Wizowie — ja byłem w Częstochowie i w stoczniach. Gdy ty wdrapywałeś się na wielki piec „B” w hucie Kościuszko i gdy zlałeś pod ziemię do nowobudującej się kopalni „Wesoła” — ja chodziłem po rusztowaniach nowej Warszawy i nowego Starego Gdańska. Widzieliśmy, mój drogi, kawał wielkiej roboty. W Jaworznie, Gorzowie, Dychowie, w portach, w bazach rybackich. Na naszych delegacjach służbowych przywoziliśmy pieczątki gminnych Rad Narodowych i podpisy sołtysów. Czy nie sądzisz, że we wszystkich tych obiektach najciekawszy jest — człowiek?

J. — Bardzo cię proszę, nie zadawaj retorycznych pytań. W moich włóczęgach spotykałem nie tylko t. zw. „pozytywnych bohaterów” i nie same tylko posągi marmurowe. Mimo to, wszędzie dostrzegałem zmiany zachodzące w ludziach, świadczące, że rozwój naszego kraju tworzy typ nowego człowieka. To nie jest literacki frazes. Udowodnię ci to:

Pewnej nocy brygada montażowa „Mostostalu” pracowała przy jakiejś konstrukcji stalowej w Wizowie. Było to tuż przed uruchomieniem tego obiektu. Rankiem brygadę tę przerzucić miano już w inne miejsce. Rozmawiając z jednym z monterów, zagadnąłem go: „Jaka jest wasza specjalność?” Odpowiedział: „Moja specjalność — kombinaty!” Zastrzeżę ci, że tym powiedzeniem. Przez miesiące wracałem do niego refleksjami. Czy kiedykolwiek dawniej dziennikarz miał satysfakcję rozmawiania w Polsce z robotnikiem, którego specjalnością — jak sam mówi — jest budowa kombinatów?

R. — Oczywiście, że nie! Przykład tego robotnika nie wyczerpuje jednak wszystkich elementów wzrostu, towarzyszących nowemu budownictwu. Spróbuj uzupełnić to, coś powiedział, dwoma innymi przykładami.

Pamiętasz, poznałeś u mnie w domu młodego lekarza, doktor Alinę W. Pochodzi z proletariackiej rodziny. Gdy składała egzamin wstępny na Akademię Stomatologiczną w Warszawie — mierniczo wie pod Krakowem wbijał pierwsze paliki pod

nowe, wielkie zakłady przemysłowe. Gdy złożyła egzaminy końcowe i otrzymała absolutorium tj. po 4-ach latach studiów — ochotniczo jako lekarz zgłosiła się do nowego miasta, do Nowej Huty. Dziś w tym czterdziestotysięcznym mieście przyjmuje już pacjentów.

J. — Mówiłeś o dwóch przykładach. Tymczasem rozwdzisz się nad jednym. A ten drugi?

R. — Niedawno byłem we wsiach dolnośląskich. Zwiedzając gospodarstwa małorolne, trafiłem w powiecie ząbkowickim do 4-ro hektarowego chłopca. Jego syn, jako wyróżniający się szczególnymi uzdolnieniami stypendysta, studiuje wyższą matematykę na uniwersytecie wrocławskim. Jestem przekonany, że nim dojrzejemy do końca naszej Sześciolatki, ten chłopiec będzie robił obliczenia naukowe, pomocne następnym etapom naszego rozwoju.

J. — Skoczyliśmy ryzykownie od „Mostostalu” do stomatologii i matematyki. Ale bo też zjawisko jest powszechne. Występuje we wszystkich dziedzinach naszego życia. Za tym robotnikiem — specem od kombinatu, za tym młodym inteligentem, za studiującym synem chłopskim, stoją setki tysięcy podobnych ludzi. To są owoce Planu. Czyś nie zwrócił uwagi, że często pisząc lub mówiąc o Planie, traktuje się go jako spacer do socjalizmu? Drugi rok Sześciolatki pokazał, że jest to mozolna wspinaczka. Przegrywa się wprawdzie czasem potyczki, ale wygrywa się bitwy.

Siedziałem teraz długo na Śląsku. Byłem w hutach. Nie wszystkie wykonywały plany. Do niewykonujących należała huta im. Stalina. Przez 9 miesięcy Plan „leżał” tam z kretelem. Zmieniali się dyrektorzy. Aż przyszedł kierownik z prawdziwego zdarzenia. W ciągu dwóch miesięcy zdołał porwać załogę, zlikwidować zaniedbania i oto po raz pierwszy, przy tych samych warunkach technicznych, huta wyskoczyła ponad plan państwowy. Do tej pory nie nastąpił jeszcze przełom w hucie „Bobrek”. I tu i tam sprawa leży w rękach ludzi.

R. — Siedząc po uszy w węglu i stali. Tam front walki o plan jest skoncentrowany i tam łatwiej osiągać przełomy. Inaczej jest na polnych drogach, które są drogami naszego zaopatrzenia. Przeżywalimy i przeżywamy trudności aprowizacyjne. Wiesz, okazała się najsłabszym ogniwem naszego planu. Tu walka z wrogiem jest znacznie trudniejsza. Ale podczas moich wędrówek wiejskich obserwowałem ostatnio bardzo poważną akcję. Była to akcja skupu zboża. Gdy początkowo spora liczba chłopów ociągała się z dostawą, gdy słuchali podszeptów wroga: „niech państwo nam dają jak najwięcej, ale my się nie śpieszmy” — to pod koniec roku sytuacja się zmieniła. Coraz bardziej odosobnieni byli ci „podszeptujący” i coraz więcej ziarna sypało się do magazynów na punktach skupu. Widzisz, to jest właśnie ziarno świadomości, które dojrzewa. Nie samo, oczywiście. Dojrzywaniu tego ziarna pomagają górnicy i hutnicy, metalowcy i marynarze, którzy poszli na wieś, aby otworzyć oczy ślepym, by wesprzeć pracujących chłopów w ich walce z wrogiem klasowym.

Przed chwilą sam mówiłeś, że nasza droga nie jest spacerem, lecz wspinaczką i że przegrywa się potyczki, a wygrywa bitwy. Marsz wiejskimi drogami jest trudny, ale przebyliśmy już kawał drogi.

J. — Ostrożnie! Zaczynasz mówić metaforami, a to nie nasza specjalność.

Prawda, oglądaliśmy wszystkie te trudności własnymi oczami. I te mięsne i te stalowe i te węglowe... A jednak mimo tych wszystkich trudności na Zeraniu puściliśmy w ruch osobowe „Warszawy”, w Lublinie ciężarowe „Lublino”, ruszyliśmy sztuczne włókno w Gorzowie i turbiny w Dychowie itd. itd. To jest przecież dorobek. I z tym dorobkiem wiąże się moje ciekawe wspomnienie.

R. — Na wspomnienia daję ci 15 wierszy. Nie piszemy powieści!

J. — Było to w Gorzowie. Wiesz, że nim doszliśmy do polskiego włókna syntetycznego „Polan” — nasi naukowcy i technicy mordowali się przeszło dwa lata nad wypracowaniem metody. Gdy nic nie wychodziło, cofnięto w końcu kredyty. Uprosilili jeszcze dwa tygodnie na dalsze próby. Nie spali, nie wyłazili z laboratorium. I znaleźli. A zaraz potem ruszył montaż fabryki, która bardziej przypomina pałac, niż zakład przemysłowy. Okazało się, że potrafiliśmy znaleźć klucz do zatrzaskniętych drzwi. Widziałem entuzjazm ludzi Gorzowa, gdy osiągnięty został przełom. Nie będę ci dużo mówił, ale cała ta porywająca sprawa warta jest lepszych piór. W walce budowniczych Gorzowa widziałem żywy patos Planu.

R. — Muszę ci powiedzieć, że mniej więcej w tym samym czasie ja na drugim krańcu Polski patrzyłem



Maszyny dźwigają plany wsi — przeobrażają jej oblicze. Podnoszą na wyższy poziom gospodarkę



PRZED 4 LATY — BYŁO TU POLE — DZIŚ BAWIĄ SIĘ DZIECI W NOWYM MIEŚCIE — NOWA HUTA.

na nie mniej porywającą historię walki o nowe marteny Częstochowy. Pomijam techniczny rozmach tego budownictwa i powszechność entuzjazmu pracy. Głośno o tym było w całej polskiej prasie. Przypomnę ci jednak jeden charakterystyczny szczegół. Inżynier, konstruktor pieców, w najgorszym momencie, kiedy puszczano w ruch pierwsze marteny, chory był na zapalenie okostnej. Wiesz, co to jest ból zębów. Wściec się można. Ale mimo, że był oszołomiony bólem i proszkami, ani na chwilę nie opuścił pola walki. W piekielnym zgiełku i szturmowej gorączce pracy, czuwał na swym posterunku w dzień i w nocy. Wydaje mi się, że ten człowiek wiedział po prostu, co to znaczy nowa stal dla naszych planów.

J. — Zaczynamy zachowywać się jak dwaj woźnice. Każdy chwali swego pasażera!...

R. — Mylisz się. Mamy wspólnych pasażerów.

J. — Znowu jesteś zasadniczy. A przecież obok takich pięknych ludzi, znalazłeś w terenie niejednego kacyka, sodowiarza i bumelanta.

R. — Słusznie. Ale nie oni budują Plan. Oni tylko usiłują opóźnić nasz marsz. Oni i malkontenci.

J. — Otóż ą propos malkontentów, to muszę ci powiedzieć, że czasem są dla mnie wprost irytujący. Zawsze mam wielką ochotę zapakować takiego pana do walizki i po prostu zabrać ze sobą w teren. Nie wymagam od nikogo, aby patrzył na wszystko przez różowe okulary. Ale, u licha, nie można przegapić tego, co się u nas robi. Przecież ten biedny i zabiedzony przez kapitalizm, naród polski, sięga po stopień uprzedmiotowienia, a więc bogactwa i siły — wyższy, niż nie jeden z wyprzedzających nas dotychczas krajów kapitalistycznych.

R. — Zapaliłeś się nieco naiwnie. Ci, którzy nie widzą — nie chcą po prostu widzieć. Znacznie wygodniej dostrzegać trudności naszego etapu. Jeden z arabskich mędrców mawiał, że nikt nie jest tak ślepy, jak ten, który widzieć nie chce.

J. — Znowu metafora! Mówisz, jakbyś wrócił ze Środkowego Wschodu, a nie z Ziemi Zachodnich.

R. — Przeciwnie. Właśnie dlatego tak mówię, bo wracam z Ziemi Zachodnich i widziałem ten rozmach budownictwa, którego ci malkontenci nie chcą dostrzec.

J. — Wiesz, chciałem jeszcze coś dodać do sprawy malkontentów. Od paru miesięcy interesowałem się, czy obecne trudności zaopatrzeniowe wpływają w jakimś stopniu na realizację zadań produkcyjnych. Otóż, nie umniejszając całej wagi tych trudności, oświadczam ci, że najmniej narzekają właśnie ci, którzy najofiarniej i najciężiej pracują. Znacznie więcej o niedostatkach słyszy się w kawiarniach niż w hucie lub kopalni. Oczywiście możesz powiedzieć, że to jest głos słowny...

R. — Bynajmniej. Pokrywa się to z moimi obserwacjami. Wbrew logice, zdawałoby się, najgłośniejszy u nas krzyk ci, którzy najgorzej pracują.

J. — Jeden z takich panów powiedział mi kiedyś, że czytając reportaże w prasie codziennej, po dziurki od nosa ma już terminów: „gigantyczne” — „potężne” — „olbrzymie” — „kombinat” i tych wszystkich superlatywów... „naj... naj... naj...”

Nie wiedziałem w pierwszej chwili, co mu odpowiedzieć, wówczas, gdy ja sam przeżywałem brak słowa. Język dziennikarski często w praktyce okazywał się zbyt ubogi dla zobrazowania rzeczywisto-

ści. Stary polski język dziennikarski nie przewidywał przecież takiego rozmachu budownictwa.

Jak można na przykład określić budowę nowej zapory wodnej w Goczałkowicach, gdzie Wisłę bierze się jak pasek od spodni i przenosi na inne miejsce, przekopując przy tej okazji dwa miliony metrów sześciennych ziemi? Słowo „olbrzymia” albo „gigantyczna” budowa — „potężny” wysiłek ludzi i maszyn — nie daje właściwego obrazu. A przecież z takich elementów składa się drugi rok naszego Planu.

R. — Narzekasz na kłopoty językowe, na formę wypowiedziania się i na dobór słów. Ja mam inny kłopot. Zawsze, dając czytelnikowi obraz przemian, obraz obiektów naszego Planu i jego problemów, obawiam się, czy poza tymi problemami i obiektami dostrzeże on dość wyraźnie perspektywy naszego dalszego rozwoju. — I czy rozumie związek z tym, co dzieje się na świecie.

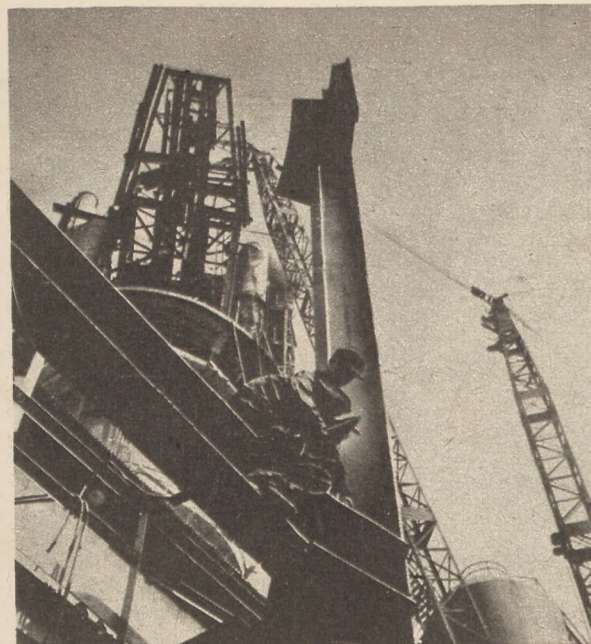
J. — Wiem, o co ci chodzi. O sytuację międzynarodową. Ja sam zapomniałem czasami, że nie jesteśmy wyspą. Pamiętasz, jak się zbiegały depesze naszych kolegów, wysłanych do Korei i do ONZ w Paryżu?

R. — Otóż to właśnie. O tym myślałem — o tym, czy wszyscy dostrzegają bezpośredni związek z walką, którą przeciw wojnie tocimy, budując naszą siłę i przyszłość. Czy rozumieją, że nasz front walki przebiega przez obiekty Planu?

J. — Niewątpliwie, jest pewna liczba ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy z tego wszystkiego. Ale większość ludzi w Polsce dobrze pamięta świst bomb i żołdackie buty Wehrmachtu i zbyt gorąco kocha swój kraj, aby tego nie pojmować. Sprawy Planu i walki o Pokój, dla nas, jako narodu, stały się sprawami życia i śmierci. „Plan Sześcioletni wzmacnia siły Polski i wzmacnia jej niezależność, a wraz z tym wzmacnia wkład Polski do ogólnoludzkiego dzieła pokoju”.

R. To przecież są słowa Prezydenta Bieruta.

J. Tak i wyrażają one myśli i uczucia całego narodu polskiego.



Stoi to pancierz i siła naszego kraju, to etapy naszego wzrostu w okresie Sześciolatki.

JANUSZ MINKIEWICZ

POCZTÓWKA DO NOWEGO ROKU

W dniu twych urodzin, Nowy Roku,
W dniu, który rozpoczyna styczeń,
Pozwalam sobie, z łezką w oku,
Złożyć ci kilka ważkich życzeń...

Niechaj pomyślną w dziejach datą
Pozwoli zostać dobry los ci!
Nie szczędź szczęśliwych zdarzeń świata,
Syp je, jak z... roku obfitości!

Bądź rokiem zmagania i nadziei;
W Polsce — zwycięskim rokiem Planu,
Ostatnim wojny — na Korei,
Wolności pierwszym — dla Vietnamu.

Niech dni twe niezależność znaczą,
Którą zyskają Egipcjanie
I niech przyniosą podżegaczom
Nauczkę i opamiętanie.

Młodością silny, Nowy Roku,
Śmiało nadzieje nasze rokuj,
Przyspiesz nam w pracy naszej kroku,
Na świecie mocniej utwral pokój.

Że to się spełni samo przez się —
Nikt, kto ma rozum, się nie łudzi...
To, co nam Nowy Rok przyniesie,
Od nas zależy, żywych ludzi.

Zależy od nas, mas najszerzych,
By stał się rok, co wnet nadleci,
Lepszym niż 51-szy,
Gorszym niż 53-ci!

ALARM ATOMOWY W NOWYM JORKU



Rys. Jerzy Flisak

Policjant: — Nie wie Pan, że w czasie alarmu przeciwo-
mowego należy wysiąść z samochodu i ukryć się.
Bankier: — Nie bądź Pan śmieszny, przecie te alarmy to
mój pomysł.

S. MARSZAK

SŁONIE I CHURCHILL*)

Indyjskie słonie

W wielkiej są rozpacz.

Ze wstydu ryczą, gniew w ich sercach płonie,

Bo order Słonia — sło n i a, nie inaczej! —

Otrzymał najwściekleszy z podżegaczy.

Ordery — cóż, bywają różne wszędzie,
Ale dlaczego w mlecznej, cichej Danii,
Gdzie słonie żyją w Zoo i w legendzie,
Nie byk, nie dzik okryty hańbą będzie,
Lecz zacny, mądry słoń?

To jego godność rani!

To dla każdego przecież oczywiste,
Że słoń — to zwierzę
Ciężkie, silne, ale czyste,
Roślinożerne...

Słowem,

Możemy szczerze

W intencje słonia wierzyć pokojowe.

Więc wobec rządu Danii stoni grono
Zakłada ostry protest i uchwała,
Aby od słoni się trzymano z dala,
Ordery zaś by inne wprowadzono —
Hieny, dajmy na to, lub szakala!

Hum. Eugeniusz Żytomirski

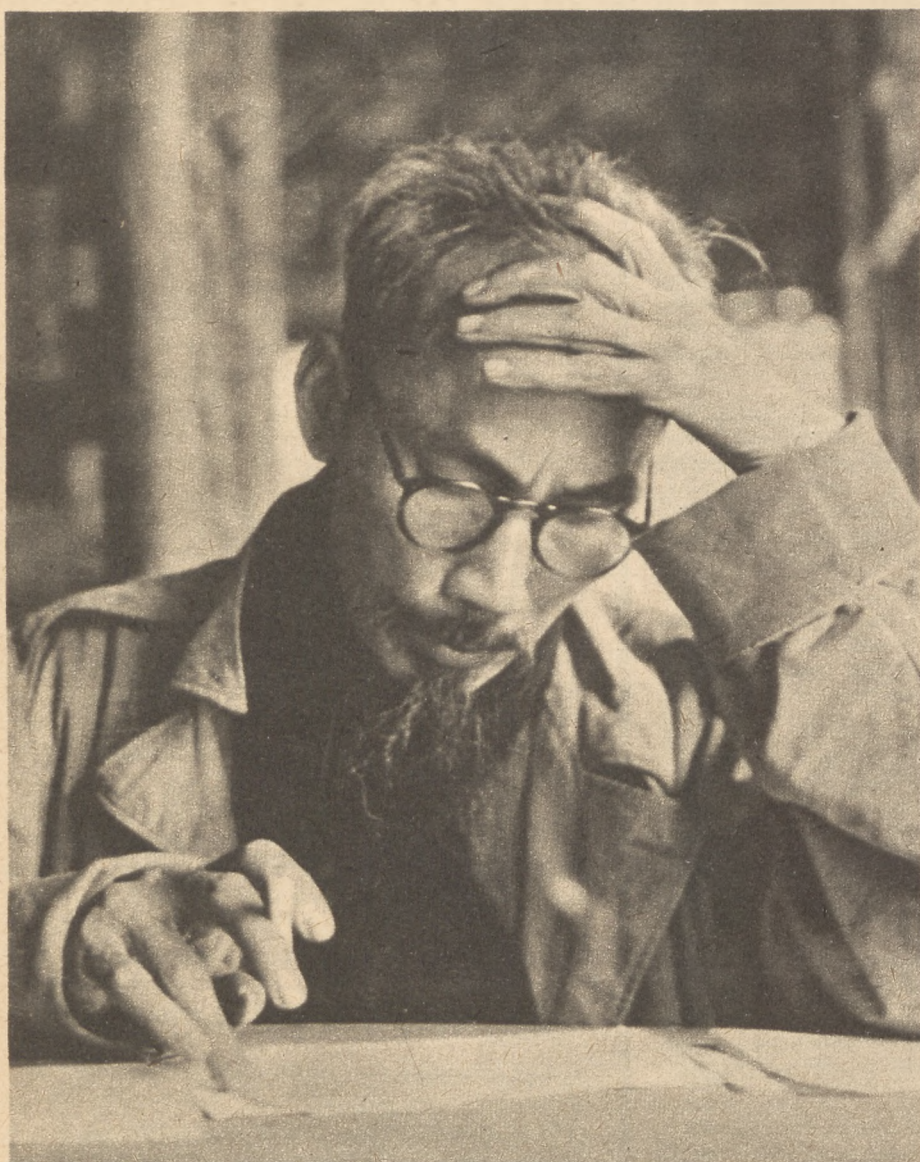
*) Wiersz napisany na wiadomość o odznaczeniu
obecnego premiera Wielkiej Brytanii duńskim or-
derem Słonia.

328 TYS. KM. KW., 22 MILIONY MIESZKAŃCÓW, 100 LAT CIĘŻKIEJ FRANCUSKIEJ OKUPACJI, 100 LAT WALKI NARODU O NIEPODLEGŁOŚĆ.

WIDZIAŁEM „BRUDNĄ WOJNĘ”

BRONISŁAW WIERNIK

Korespondencja własna „ŚWIATA”



W sierpniu r. 1945, dzięki zwycięstwu wyzwolenczej Armii Radzieckiej w Azji, narodziła się Vietnamska

Republika Demokratyczna, na której czele stanął ukochany przez naród, stary rewolucjonista, Ho Szi Min.

TO BYŁO w małej wiosce na skraju dżungli. W szałasie plecionym z bambusu, przy zdobytym w ostatniej kampanii francuskim radioodbiorniku bateryjnym, słuchaliśmy w audycji z Sajgonu co mówią o Korei okupanci Vietnamu, gdy nagle chrapliwy głos spikera zagłuszyły ostre, metaliczne dźwięki. Tysiące kilometrów od Kaesong, na drugim, południowym krańcu Azji, uderzeniem żelaza w szynę ogłoszono alarm lotniczy.

Kobiety z niemowlętami w ramionach ściągały schnącą na sznurze bieliznę, dzieci gasiły ogień pod gotującą się strawą, stary chłop odczepił drewnianą sochę z uprząży szamocącego się w błocie na polu ryżowym bawołu, z przeraźliwym rżeniem przeleciały w pędzie ranne konie, które tego dnia sprowadzono z frontu na leczenie. W mgnieniu oka wszystko opustoszało. Ludzie i zwierzęta schronili się w gęszczu dżungli. Zamilkły nawet cykady.

Tylko niebo jęczało.

Nad małą wioską vietnamską krążył samolot — taki, jaki jeszcze niedawno widziałem nad wioskami Korei — dwumotorowy lekki bombowiec amerykański B-26.

Głośny wybuch szarpnął ciszę. Samolot odleciał. Szybko płonęły trzy bambusowe chaty.

Po wiadomościach z Korei, radio Sajgon rozpoczęło audycję pod tytułem „Stany Zjednoczone Ameryki interesują się Vietnamem”.

T.zw. „Głos Francji na Dalekim Wschodzie” informował swoich słuchaczy, że w tej chwili pięć tysięcy vietnamskich wiosek korzysta z pomocy sanitarnej USA.

Słychać było suchy trzask ognia płonących chat.

Gdy w kilka tygodni później wracałem z dżungli tą samą drogą, małej wioski już nie było. Jak większość vietnamskich wiosek, położonych przy ważniejszych drogach, została „zwinięta”, przeniesiona w głąb dżungli.

Chłop vietnamski ucieka przed „sanitarną pomocą” USA, która zaczyna się proszkiem DDT, a kończy napalmem.

Vietnamski chłop z mniejszości narodowej Tho i młody żołnierz francuski z Clermont Ferrand, którego poznałem w obozie jeńców, powiedział mi to samo:

— „Brudną wojnę” w Vietnamie prowadzą dziś Amerykanie.

AMERYKAŃSKA ŚMIERĆ

Francuski żołnierz przelewa krew, swoją i cudzą, za amerykańskie bazy wojenne w Indochinach. Im więcej francuski płatnik podatków płaci za „brudną wojnę” w Vietnamie — doszło do miliarda „anków dziennie” — tym większe są amerykańskie udziały w vietnamskich plantacjach kawy i kauczu. Tzw. „Francuski Korpus Ekspedycyjny” w Vietnamie, podobnie jak tzw. „Wojska Narodów Zjednoczonych” w Korei, to nic innego jak amerykańska legia cudzoziemska. „Naczelny wódz”, Francuz Delattre de Tassigny, wykonuje rozkazy amerykańskich „doradców”. Lotnik jest francuski — bomba amerykańska. I to jest ohyda „brudnej wojny” w Vietnamie.

Widziałem „brudną wojnę”. Widziałem skutki rozkazu sztabu głównego francuskiego korpusu ekspedycyjnego Nr 699-ZOT3 z 14 marca 1951 roku, w którym podane są najskuteczniejsze metody niszczenia zapasów ryżu (topienie, zalewanie benzyną, palenie) „celem zacieśnienia blokady ludności cywilnej w strefach zbuntowanych”. Widziałem trupy małych dzieci, na które francuski lotnik rzucił amerykańską śmierć w chwili gdy wyprowadzały bawoły na pastwisko. Widziałem starego chłopca dogorywającego po wyjściu z francuskiego więzienia, w którym siedział rok za to, że we francuskiej aptece w Hanoi chciał kupić chininę do leczenia malarii. Dla francuskich okupantów vietnamski chłop, który



Bac Ho — Ojciec Ho — tak nazywa swego prezydenta naród vietnamski, który po latach ucisku...



...w niesłychanie ciężkich warunkach, w straszliwym klimacie dżungli, wszystkie swe wysiłki...



...całą swą pracę oddaje na front walki z trzema wrogami: z głodem, ciemnotą i najeźdźcą.



Widziałem w Vietnamie „brudną wojnę” kolonizatorów i sprawiedliwą, wyzwolenczą wojnę wietnamskiego

narodu. (Na zdjęciu autor naszego reportażu, Bronisław Wiernik, wśród młodzieży wietnamskiej).



Sześć lat minęło od dnia, w którym bohaterski naród wietnamski stanął z bronią w ręku w obro-

nie swojej ludowej republiki gnębionej przez obcych najeźdźców. Vietnam walczy, Vietnam zwycięża!

wie, że malarię leczy się chininą, jest podejrzany politycznie. W wioskach na terenach okupowanych pogrzeby ofiar rozbastwionego terroru odbywają się nocą. Rodziny stoją za bambusowymi parkanami. Nie usłyszysz płaczu, żałobę tłumi się w sercu.

Ale w tym samym czasie, w tych samych wioskach, pod nosem okupantów w betonowym bunkrze, gdzieś pod ziemią, w schronach i kryjówkach wykopanych przez miejscową ludność, odbywają się zebrania, odprawy, przygotowania. We wszystkich miastach okupowanych wietnamscy kupcy płacą podatki na rzecz Wietnamskiej Republiki Demokratycznej. Ludność terenów okupowanych nie ma zaufania do francuskich plastrów. Ludność terenów okupowanych wie, że dzień zwycięstwa, że dzień całkowitego wyzwolenia przyjdzie.

WSZYSTKO DLA ARMII

Widziałem „brudną wojnę” kolonizatorów. Widziałem sprawiedliwą, wyzwolenczą wojnę narodu wietnamskiego. Nocą, oświetloną pochodniami z bambusu, młodzież buduje mosty i drogi prowadzące na front. W każdej wietnamskiej rodzinie rezygnuje się z jednego posiłku dziennie dla żołnierza armii wyzwolenczej. W fabryce broni, gdzieś w głębi dżungli, rozmawiałem z robotnikami, z których większość dotknięta jest malarią. Tego dnia, po raz pierwszy od sześciu miesięcy, otrzymali zapłatę. Radość była wielka, ale nie z powodu wypłaty. Tego dnia udało im się wyprodukować nowy typ moździerza. Widziałem żołnierzy wietnamskiej armii ludowo-wyzwolenczej, która zaczęła się od garstki robotników i chłopów uzbrojonych w bambusowe dzidy i przedpotopowe strzelby myśliwskie, a dziś liczy setki tysięcy

Dokończenie na str. 14



Przyjrzyjcie się dobrze. Zdjęcie ukazuje pozornie jakieś zarośnięte pole.

Tymczasem jest to wiec żołnierzy wietnamskiej armii ludowo-wyzwo-

lenczej, którzy się zamaskowali aby nie dostrzegli ich nieprzyjacielski lotnik.



...z obrony przeszli do ofensywy. Wszystkie drogi prowadzą na front.

Coraz nowe tereny zostają wyzwolone od wroga, który przez stulecie



gnębił kraj. Widziałem ich, rycerzy „brudnej wojny”. Pytałem ich o co

walczą, za jaką sprawę? Żaden nie umiał mi odpowiedzieć na to pytanie.



Jeszcze jedna twierdza ucisku i wyzysku zdobyta przez żołnierzy armii ludowo - wyzwolenczej.



Jeszcze jeden „obrońca cywilizacji“. Nie będzie on już nigdy więcej mordował, gwałcił, palił.



Jeszcze jedna ofiara brudnych interesów kolonizatorów francuskich dowie się prawdy o Vietnamie.



Jesteśmy w szpitalu wojskowym, gdzieś w dżungli. Oto pawilon dla rekonwalescentów. Między opatrunkami i atakami malarii — prowadzone są lekcje.



Nieraz zabraknie chininy do leczenia malarii. Nieraz ryżu zabraknie. Ale oto nadszedł świeży transport pocisków wyprodukowanych przez patriotów.

uzbrojonych sprzętem wroga, zahartowanych w bojach, wyszkolonych żołnierzy i oficerów, pewnych zwycięstwa. Vietnamska armia ludowo-wyzwolencza łęczy się dziś na dywizje.

W trudnych warunkach, w ciężkim klimacie toczy się sprawiedliwa wojna bohaterskiego Vietnamu. W dżungli, gdzie bije serce i pracuje mózg vietnamskiego ruchu oporu, transport i łączność odbywa się przeważnie pieszo. Samoloty i malaria, bomby i skorpiony, tężec, pijawki, tygrysy — sześć lat pracy i walki w dżungli. I oto z obrony — Vietnam przechodzi do ofensywy. Każda nowa kampania kończy się nowym zwycięstwem. I nie może być inaczej skoro z armią jest naród. W kampanii, w której bierze udział 30 tysięcy żołnierzy — 45 tysięcy z ludności cywilnej przenosi broń, amunicję, żywność. Wszystkie większe kampanie odbywają się w okresie zasiewów i zbiorów.

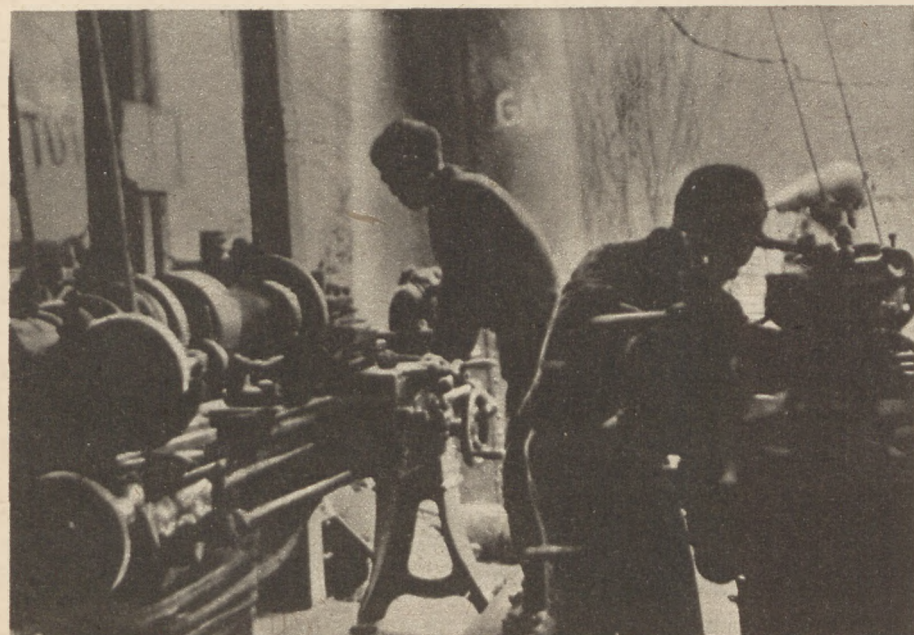
Wroga gromi się wtedy gdy jest najbardziej niebezpieczny. Chłop pomaga żołnierzowi na froncie. Po zwycięskiej kampanii, żołnierz idzie z chłopem na pole.

Gdy gdzieś, w głębi dżungli, pytałem prezydenta Ho Szi Mina o sytuację, pokazał mi listy — listy robotników i chłopów, pisarzy i uczonych; kobiet, które dopiero co nauczyły się pisać, i dzieci, które idą do szkoły w nocy, listy żołnierzy z frontu i kupców z okupowanych miast — listy całego narodu, a w nich dwa słowa: WALCZYMY, ZWYCIĘŻYMY.

W Vietnamie, natchnionym zwycięską rewolucją Chin Ludowych widziałem, jak bezsilny jest najpotężniejszy nawet imperializm wobec narodu, który wie o co walczy.

W Vietnamie widziałem jak nikczemny jest nasz wspólny wróg, jak niebezpieczny, ale także — jak słaby.

W głąb niedostępnej dla wroga dżungli, wraz z uniwersytetami, ministerstwami, polami ryżowymi, przeniesiono fabryki, w których wykuwa się oręż zwycięstwa.



W sercu dżungli, obok portretów Stalina i Ho Szi Mina, portret prezydenta Bieruta. Słowa w języku francuskim mówią o braterstwie narodów.

Jednocześnie z walką o wolność toczy się walka ze spuścizną stu lat francuskiej niewoli — walka z ciemnotą, przesadami, analfabetyzmem.



GDY ZADRZAŁ TRON CARA...

W 126 ROCZNICĘ POWSTANIA DEKABRYSTÓW

SAMUEL FISZMAN

INSTYTUT astronomii teoretycznej Akademii Nauk ZSRR zajął się niedawno dość niecodziennymi obliczeniami, które pozwoliły określić moment wschodu i zachodu słońca w dniu 26 (14 wg. st. stylu) grudnia 1825 r. Uczonym radzieckim, zbierającym od lat dane archiwalne i pamiątkarskie o Powstaniu Dekabrystów, potrzebny był i ten szczegół, aby z jeszcze większą dokładnością uzmysłować sobie każdą chwilę tego dnia, w którym według słów Lenina: „Rosja po raz pierwszy ujrzała ruch rewolucyjny przeciwko caratowi”.

Po raz pierwszy w historii Rosji grupa rewolucjonistów świadoma swoich celów, mająca opracowaną konstytucję przyszłego państwa, a nawet przygotowany tekst manifestu do narodu, wystąpiła z bronią w rękę w momencie długo wyczekiwany, w oznaczonym z góry dniu, przeciwko ustrojowi krzywdy i cierpień ludu, o „równość wszystkich stanów przed prawem”, o nowy ustrój społeczny.

PEKNIĘCIE ROSŁO...

Przed 26 (14) grudnia 1825 r. lud rosyjski niejednokrotnie w chwilach rozpaczliwych podnosił bunt, że wspomniemy wojnę chłopską pod wodzą Pugaczowa, powstanie w Czugujewie nad Donem, w pułku Siemionowskim, że wspomniemy samotny protest i śmierć samobójczą szlachetnego Radiszczewa. Ale po raz pierwszy w stolicy w pobliżu bezsilnego cara na centralnym placu miasta, w obecności tysięcznych tłumów prostego ludu petersburskiego, ginął z rąk powstańców generał-gubernator, uciekali w popłochu przez dziurę w płocie posłani dla pertraktacji dwaj metropolici w uroczystych szatach liturgicznych. Po raz pierwszy zadrżał tron carski i chociaż walka zbrojna dekabrystów trwała krótko i zakończyła się klęską, pozostało na nim pęknięcie, które rosło, rozszerzało się, aż w proch rozpadł się pod ciosem zwycięskiej Rewolucji Październikowej.

Tajne organizacje dekabrystów zaczęły się tworzyć w roku 1816, później w r. 1821. Pestel, Bestużew i inni organizują na południu Rosji Stowarzyszenie, które otrzyma nazwę Południowego. W Petersburgu w roku 1822 Murawjow, Trubeckoj, Rylejew i inni zakładają Stowarzyszenie Północne. Niezależnie od Stowarzyszenia Północnego i Południowego istniała na Ukrainie najbardziej radykalna organizacja dekabrystów, Związek Zjednoczonych Słowian, którego założycielami byli oficer rosyjski, Piotr Borysow, i drobny szlachcic polski, Julian Lubliński.

„Tajne te Stowarzyszenia — powie o nich później Mickiewicz — składały się z najwznioślejszej, najdzielniejszej, najpełniejszej zapału i najbardziej czystej w uczuciu młodzieży rosyjskiej”. Głosili hasła równouprawnienia wszystkich obywateli, zniesienia pańszczyzny, obalenia monarchii absolutystycznej i ustanowienia państwa konstytucyjnego.

Ale dekabryści byli szlacheckimi rewolucjonistami, którzy nie rozumieli, że o dobro ludu walczyć trzeba wraz z ludem. Zarówno członkowie Stowarzyszenia Północnego jak i Po-



Rys. A. Uniechowski

łudniowego byli zwolennikami powstania wojskowego bez udziału ludu. „Ograniczony jest krąg tych rewolucjonistów — napisze o nich Lenin — strasznie są oni dalecy od ludu”.

NA PLACU SENACKIM

Bezpośrednim powodem zbrojnego wystąpienia dekabrystów była nagła śmierć Aleksandra I w Taganrogu, oraz dość długo, bo 24 dni trwający okres, w którym nie wiadzano, czy carem będzie Konstanty, czy Mikołaj. 9 grudnia (27 listopada) wojska zło-

żyły przysięgę na wierność Konstantemu, ale Konstanty nie przyjął korony carskiej, na tron miał więc wstąpić Mikołaj, a armia i senat winne były z kolei jemu złożyć przysięgę. Ten moment wykorzystali dekabryści, by wyprowadzić na Plac Senacki w Petersburgu kilka pułków, które miały owołać senatem i Pałacem Zimowym, aresztować rodzinę carską, zmusić senat do ogłoszenia manifestu, zwołania zebrania prawodawczego i naznaczenia rządu tymczasowego.

Na kilka dni przed wystąpieniem na Placu Senackim, dekabryści wy-

brali dyktatora powstania w osobie Trubeckiego. W ostatniej chwili, bo w dniu powstania, Trubeckoj stchórzyl, zdradził powstanie i nie pojawił się na Placu, aby objąć naczelne dowództwo. Ten rzadki w historii rewolucji fakt zdrady naczelnego wodza, w dużej mierze przyczynił się do upadku powstania. Ale głównym powodem klęski była taktyka walki bez ludu, której dekabryści pozostali wierni nawet w obliczu rosnącej przewagi liczebnej wojsk Mikołaja i nawet w obliczu wielotysięcznego tłumy ludu petersburskiego, który ściągnął na Plac Senacki i wyraźnie stanął po stronie powstańców, rzucając kamieniami w Mikołaja i jego świtę, biorąc czynny udział w oparciu ataku konnicy. Ta aktywna postawa ludu przerażała nie tylko Mikołaja ale przestraszyła także i dekabrystów.

Szeregi powstańców zebrane na Placu Senackim w dniu 26 (14) grudnia 1825 r., liczące w godzinach rannych 800 żołnierzy, urosły pod wieczór do trzech tysięcy, ale mimo bohaterskiej postawy do ataku nie przeszły. Pozwoliło to Mikołajowi ściągnąć na Plac Senacki dwanaście tysięcy konnicy i piechoty. Ataki wojsk Mikołaja zostały jednak odparte i dopiero użycie armat doprowadziło do ostatecznej klęski dekabrystów. W kilka dni po wypadkach petersburskich na południu Rosji wybuchło powstanie pułku Czernichowskiego, które także szybko zostało zdławione.

„NIE ZGINIE WASZ BOLESNY TRUD...”

Powstanie dekabrystów upadło. Jego główni uczestnicy: Pestel, Murawjow, Bestużew, Rylejew i Pachonowski zostali powieszani, innych zesłano na Sybir, zabito pałkami, skierowano do pułków karnych.

Mimo swej krótkotrwałości, mimo pomiesionej klęski, powstanie wywarło olbrzymi wpływ na rosyjski ruch rewolucyjny. „Nie zginie wasz bolesny trud i łot wysokich waszych myśli” powie o dekabrystach Puszkina, a Włodzimierz Lenin napisze o nich: „Ale dzieło ich nie poszło na marne”. Ideały dekabrystów rozwijały następne pokolenia rewolucjonistów rosyjskich, dziedzicem ich była rewolucja 1905 roku, a później Wielka Rewolucja Październikowa.

Dekabryści mają pionierskie znaczenie nie tylko w historii rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, ale także w historii przyjaźnej współpracy myśli rewolucyjnej polskiej i rosyjskiej. Stowarzyszenia Dekabrystów wypowiedziały się za niepodległością Polski oraz nawiązały bezpośredni kontakt z Towarzystwem Patriotycznym. Rozmowy prowadzone między Stowarzyszeniem Południowym i Stowarzyszeniem Patriotycznym oraz wspólny udział Polaków i Rosjan w powstaniu dekabrystów na Ukrainie, zapoczątkowały tradycję współdziałania i braterskiej przyjaźni ruchów rewolucyjnych obu narodów. Tak też pojął i ocenił znaczenie dekabrystów lud Warszawy, gdy w okresie powstania listopadowego święcił pamięć rosyjskich męczenników wolności



K. F. Rylejew

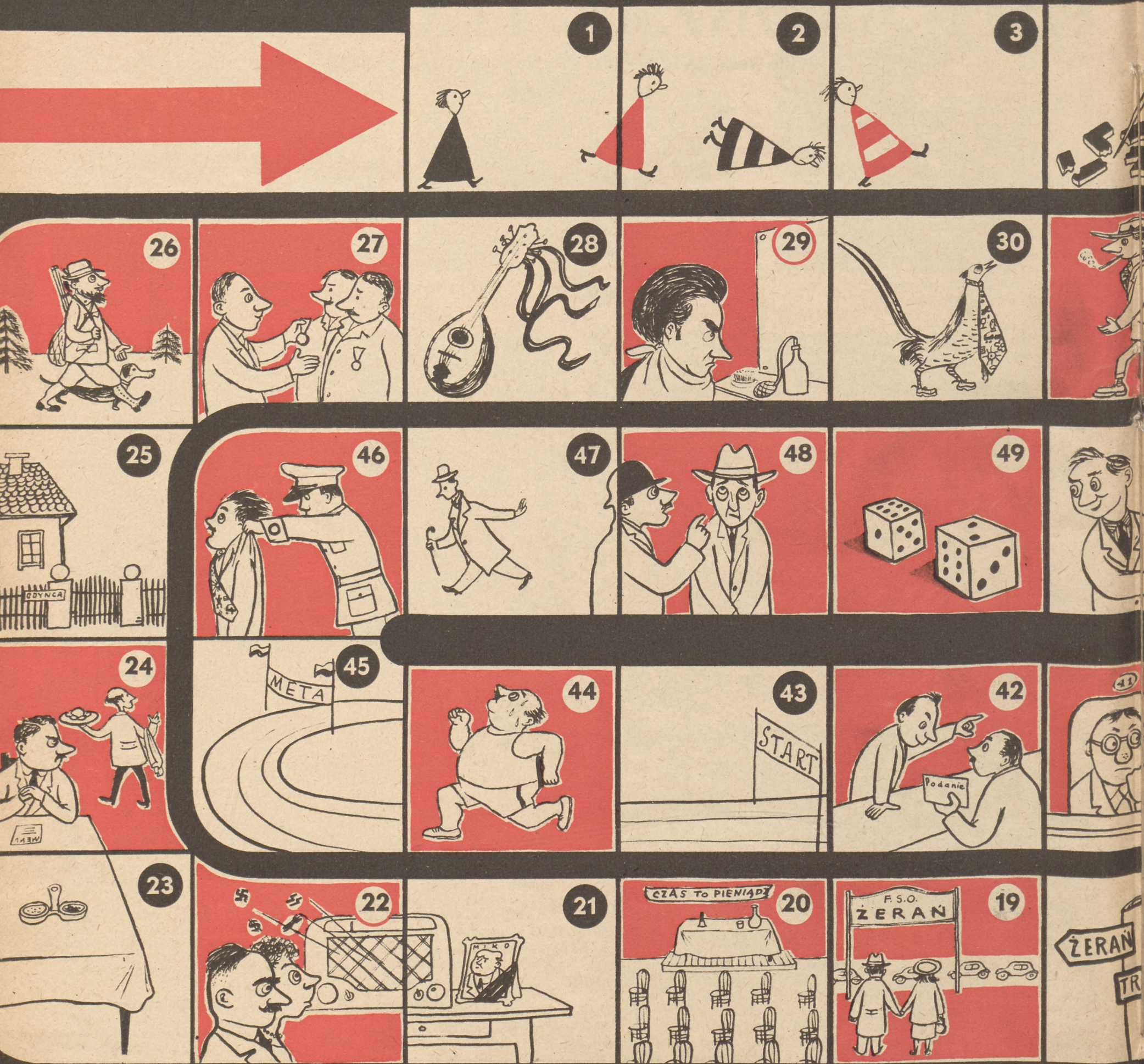


Zamach na gen. gub. Miloradowicza



Julian Lubliński

ŚWIĄTECZNA GRA „ŚWIATA“



DRODZY CZYTELNICY.

Przyszły święta, a wraz ze świętami przychodzą goście... Z gośćmi, jak to z gośćmi — miło pogadać z tymi, co przyszli i jeszcze milej obgadać tych, którzy nie przyszli... Przy stole herbatka, wino, jakieś łakocie, pierniczki, orzechy... No i co dalej? W karty nie zawsze można, bo zwykle ktoś w coś nie gra, i nie wypada, żeby ten ktoś siedział i nic...

Dlatego też proponujemy ŚWIĄTECZNĄ GRĘ „ŚWIATA“, grę w której wszyscy mogą brać udział i którą każdy zrozumie, nawet taki, który jest autorem projektu nowego CDT w Warszawie...

Więc, prosimy uważać... Do gry potrzebne są dwie kostki... Jeżeli nie macie w domu ani jednej kostki, proszę sobie wyciąć z naszego numeru na str. 29. Nalepiamy na karton, składamy, uzyskujemy zręcznym ruchem pożądaną kształt, suszymy, wykańczamy i oto dwie kosteczki, jak z obrazka wycięte... Mamy już teraz czym rzucać, a do posuwania użyjemy zwykłych pionków... Od tego są pionki, żeby robić z nimi, co uważamy za stosowne... Dlatego też nie ma co się kępować, wycinamy ze stronicy pioneczki; ewentualnie można posłużyć się różnogatunkowymi łakociami w postaci

cukierków. Chodzi tylko o to, żeby każdy z nas miał swój własny pionek do gry. Z cukierkami o tyle jest wygodnie, że można się umówić tak: kto wygra ten inkasuje wszystkie cukierki... I oto dzięki temu chytremu sposobowi koszty zabawy obciążą wyłącznie pana domu, podczas gdy dla innych gra stanowić będzie pozbawioną niezdrowego hazardu, beztroską, czyli godziwą rozrywkę!

Właściwie możemy już zacząć grę... Chociaż nie... Dla uniknięcia wszelkich kwasów, trzeba zapoznać się z zasadami... Oto one:

To, że każdy rzuca kolejno kostkami — to chyba jasne. Tak samo, jak i to, że każdy przesuwają na planie gry swój pionek (albo wyżej wspomniany cukierek), o tyle miejsc, ile wyrzuci kostkami. Jeżeli traficie na numer obrotowany czerwonym kolorem, zagładcie do naszego INFORMATORA SPECJALNEGO i wtedy dowiadujecie się, co was czeka.

Razem do zdobycia mamy 50 punktów. Wygrywa oczywiście ten, kto pierwszy zjawi się na pozycji Nr. 50. Chwilę, prosimy dokładnie uważać... To nie jest takie proste, albowiem pozycję nr. 50 trzeba osiągnąć rzutem, który dokładnie umieści nas na tym numerze. To znaczy, jeżeli znajdziemy się np. na punkcie Nr 45 — musimy wyrzucić 5

punktów, ażeby wygrać. Jeżeli wyrzucimy więcej, cofamy się od nr. 50 o nadwyżkę wyrzuconych punktów. Chyba jasne, prawda? Dość zenująca sytuacja powstaje na nr. 49, ponieważ do zwycięstwa brakuje nam jednego punktu, a dwoma kostkami wyrzucić można najmniej — 2 punkty. Trudno, tak samo cofamy się o różnicę nadwyżki i próbujemy szczęścia dalej.

Jak więc widzicie, mili Czytelnicy, gra nie jest łatwa, zmusza do wielkiej ilości rzutów, dzięki czemu wyrabiamy sobie mięśnie kończyn górnych; poza tym gra wymaga skupienia i napięcia, wprowadza czynnik szlachetnej rywalizacji i emocji, co jak wiadomo kształtuje charakter, wyrabia siłę woli, hart, odporność na zaziębienia, że nie wspomniemy o innych drobiazgach składających się na niewymuszoną całość naszej konstrukcji psycho-fizycznej.

Jak widzimy na obrazku, zwycięzca poza olbrzymią po prostu satysfakcją, otrzymuje z rąk przedstawicieli Redakcji ostatni numer „ŚWIATA“ wraz z serdecznymi gratulacjami i życzeniami świątecznymi. Numer „Świata“ stanowi dla nas cenny podarek, uwzględniając fakt, że gdybyśmy uprzednio nie mieli „Świata“, nie moglibyśmy ani brać udziału w tej grze, ani przeczytać tego, co czytamy w tej chwili.

INFORMATOR SPECJALNY

udziela wskazówek, co robić, kiedy znajdziemy się na pozycjach oznaczonych kolorową ramką!

Nr. 5 — Punkt, który jest datą historyczną — Początek 1945... Myśląc o dzisiejszej sytuacji w Niemczech zachodnich, staramy się zrozumieć, jak do tego doszło, co nam zabiera 1 rzut czasu.

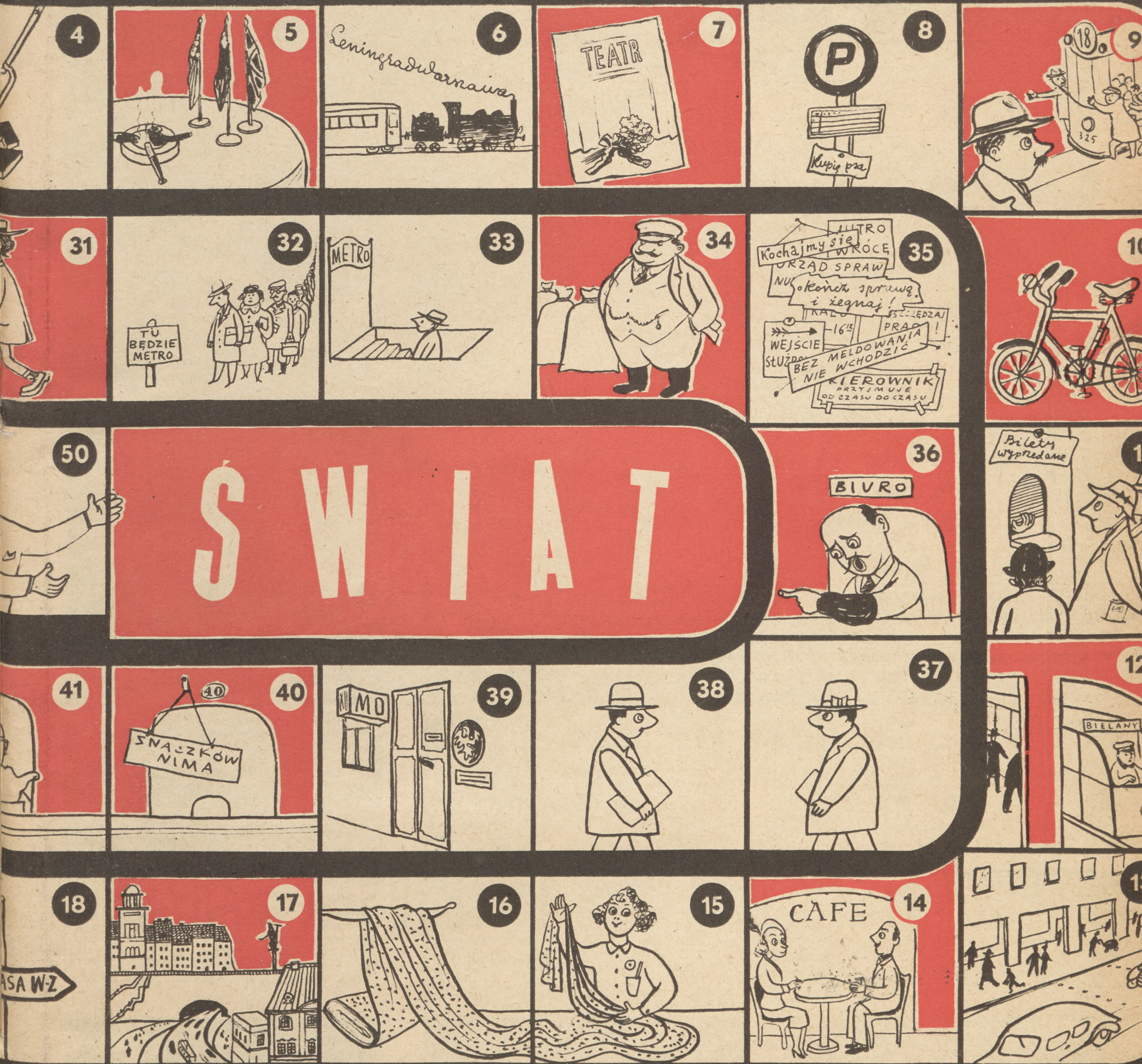
Nr. 7 — Czytamy afisz o występach znakomitego Teatru z Leningradu. Od razu przenosimy się na punkt sprzedaży biletów pod nr. 11.

Nr. 9 — Nie możemy się dostać do przepelnionego tramwaju. Rozkoszujemy się wprowadzić w tym momencie wielkomięską atmosferą stolicy, ale dwie kolejeczki rzutów trzeba odczekać!

Nr. 10 — Wygrywamy rower na Loterii Fantowej, co nam umożliwi szybki spacer po Nowej Warszawie. Posuwamy się naprzód o 3 numery i znajdujemy się w M.D.M.

Nr. 12 — Podróż bliskiej przyszłości za pomocą Metra! Posuwamy się na nr. 33 naprzód!

Nr. 14 — T. zw. uroczą znajomą z wczoraj proponuje wam wspólne wypicie pół czarnej. Wprawdzie macie jeszcze do wykonania przed sobą 36 punktów, jednak zgadzacie się, bo znajoma z wczoraj



ŚWIAT

sów to przedziwnie smukła blondynka, nie mówiąc o tym, że widzieliście w Ustroniu Morskim, jak wygląda na plaży... Rozmowa przy kawce nieco się przeciąga, blondynka również, w wyniku czego tracicie cenny czas i uprzedzamy was lojalnie, że jeżeli w następnym rzucie nie odrobicie co najmniej 9 punktów — bardzo nam przykro, ale wypadacie z gry! Ostatecznie, to wstyd, żeby dorosły człowiek w godzinach zajęć siedział w kawiarni!

Nr. 17 — Trasa W-Z. Plac Zamkowy. Zwiedzamy ruchome schody — wszystko działa normalnie. Żeby móc zwiedzić nieruchome schody — wracamy do CDT na nr. 15.

Nr. 19 — Jesteśmy w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu. Ażebymy skorzystał z jazdy nowiutką, piękną „Warszawą” — otrzymujemy dwa dodatkowe rzuty.

Nr. 20 — Drobnostka. Zebranie związkowe. Musimy czekać przez dwa rzuty, aż wszyscy raczą się zebrać.

Nr. 22 — Jesteśmy u znajomych, którzy namiećnie słuchają „Głosu Ameryki”. Słyszymy obłudne zachwyty na temat wskrzeszenia armii zachodnio - niemieckiej. Cofamy się na nr. 5 do czasów Poczdamu.

Nr. 24 — Gospoda Ludowa. Wszystko w porządku. Normalnie. Zanim nas zauważyła obsługa — tracimy dwie kolejki rzutów.

Nr. 26 — Zawsze marzyliśmy o polowaniu. Knieje, chaszce, parowy, szaraki... A do tego jeszcze kuzynka żony mieszka na ulicy Odyńca... Wracamy... bez odyńca, bez szaraka, ale za to z doskonałym apetytem. Nie ma rady, trzeba się cofnąć do Gospody Ludowej pod nr. 24.

Nr. 27 — Jesteśmy podczas uroczystości wręczania odznaczeń chłopom, którzy wzorowo wypełnili swoje obowiązki wobec Państwa. To daje korzyść wszystkim — zyskujemy 3 rzuty dodatkowe!

Nr. 29 — Spółdzielnia Fryzjerska. Chcemy się ostrzyć. Trzeba przepuścić jedną kolejkę. Ale nie gniewamy się, bo przed nami likwiduje się „mandolinę”!

Nr. 31 — Spotykając wspaniały okaz bażanta, przypominamy sobie, że warto było iść do fryzjera, który nam się mignął pod nr. 29.

Nr. 34 — Rozmowa z kułakiem nie należy do przyjemności. Kosztuje to nas utratę 7 punktów, ponieważ staraliśmy się wytłumaczyć mu korzyści rozsądnej i lojalnej postawy obywatelskiej. Niestety nie możemy tym razem skorzystać z przywileju 3 dodatkowych rzutów pod nr. 27. Kułak szkodzi każdemu!

Nr. 37 — Znajdujemy się w niebezpiecznej strefie biurokratycznej. Musicie wyrzucić co najmniej 7 punktów, ażeby przeskoczyć zagrażające wam po drodze instancje. Dopóki wam się to nie uda — czekacie zrezygnowani w urzędzie pod nr. 36.

Nr. 40 — Okienko w urzędzie. Oczywiście potrzebne są znaczki stemplowe, które można nabyć tylko pod nr. 36.

Nr. 41 — Okienko w urzędzie. Odsyłają was do kolegi w okienku nr. 40.

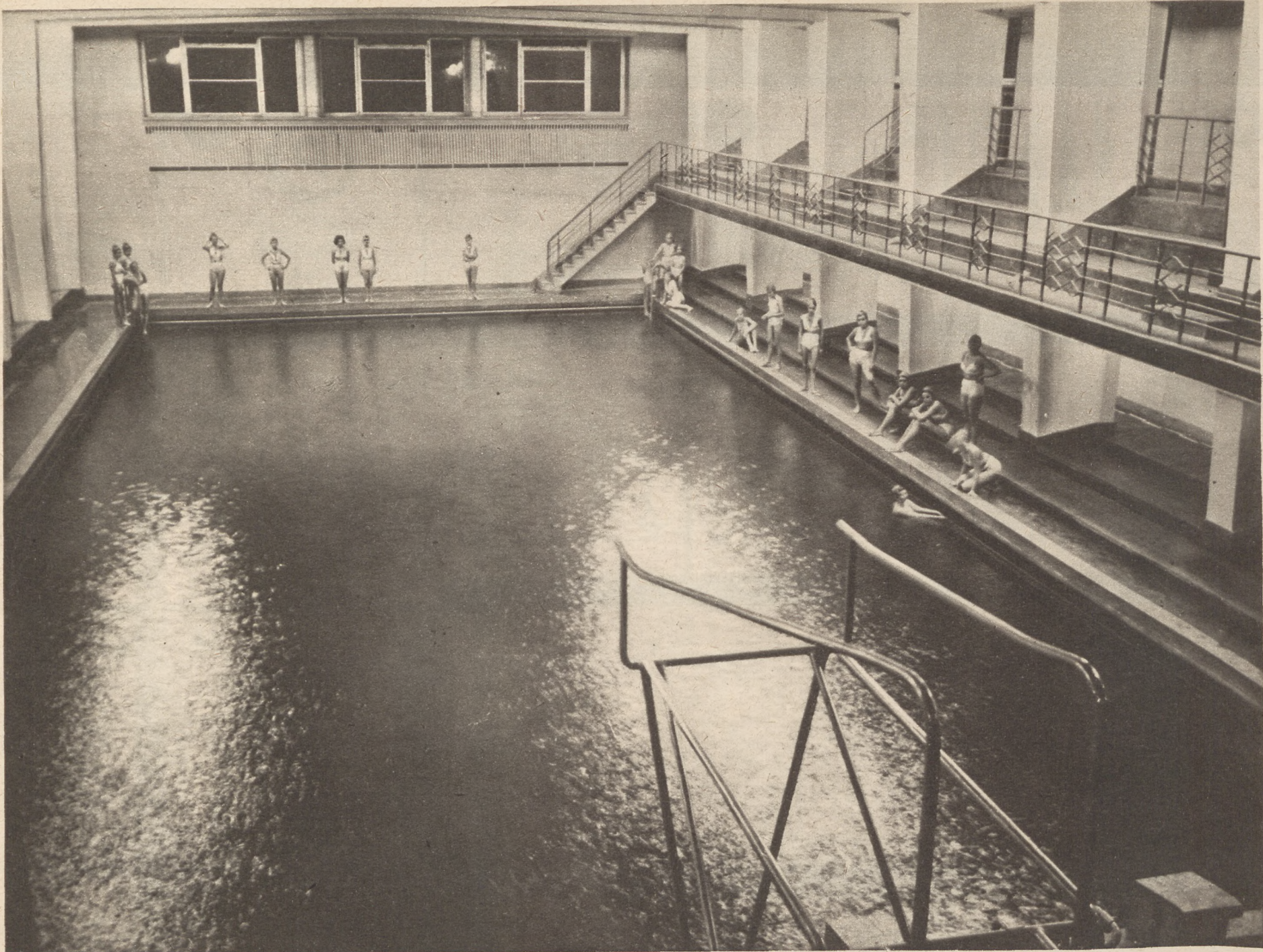
Nr. 42 — Jesteście w urzędzie. Chodzi wam o potwierdzenie prawidłowego i zgodnego z regulaminem osiągnięcia 42 punktów. Uprzejmy urzędnik oświadcza wam, że to drobiazg i kieruje was do okienka nr. 41.

Nr. 44 — Zdobywacie odznakę SPO. Uwaga! Uwaga! To wam daje szansę zwycięstwa nawet jeżeli w następnym rzucie wypadnie wam więcej, aniżeli 6 punktów! Odznakę SPO — trzeba i warto zdobyć! Nie musimy więc cofać się o różnicę nadwyżki.

i przekazać we właściwe ręce. Niestety przy tej awanturze tracicie 7 punktów, ponieważ najbliższy komisariat znajduje się pod nr. 39.

Nr. 48 — Już zdawałoby się jesteście na finiszu, ale pech chce, że spotykacie znajomego z lat szkolnych, piekielnego nudziarza... Rzuca się wam na szyję, żąda natychmiastowej odpowiedzi na pytanie: „Co słychać?”, nie zadowala go rzeczowa odpowiedź: „Po maleńku...”, i jesteście unieruchomieni, dopóki ktoś was nie zastąpi przy rozmowie z wyżej wspomnianym przestępczym elementem. Musicie więc czekać, aż ktoś ze współgrających znajdzie się pod nr. 48. Dopiero wtedy uzyskujecie swobodę ruchu... Bardzo nam przykro, ale inaczej nie może być.

Nr. 49 — Zdawałoby się, że jesteście o krok od zwycięstwa... Spokojnie, proszę się nie unosić... Przecież dwoma kostkami nie jesteście w stanie wyrzucić jednego punktu... Ponieważ wykazaliście ambicję w walce, przyznajemy wam w normalnej kolejce prawo do trzykrotnych rzutów. Oczywiście osiągnięcie nr. 50 musi odbyć się stosownie do przepisów, to znaczy z cofaniem się o różnicę nadwyżki wyrzuconych punktów, aż do utraty na nr. 50! Powodzenia!



Szkola? Nie. To nie szkoła. Świetlica? Nie, i nie świetlica. Ośrodek pozaszkolny, klub? I to nie. Jesteśmy w Pałacu Młodzieży. W najprawdziwszym pałacu marzeń. Marzeń, które przerosła rzeczywistość. W sercu Katowic stanął olbrzymi gmach składający się z dziewięciu połączonych ze sobą bloków. Pięć pięter, 12 tysięcy metrów kwa-

dratowych powierzchni, dziewięćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych kubatury, kilkadziesiąt sal, biblioteka z pięćdziesięcioma tysiącami książek, teatr na 750 miejsc, kino, sala gimnastyczna, wspaniale wyposażone pracownie, piękna pływalnia. Tyle mówią same cyfry. Właśnie ową wspaniałą krytą pływalnię oglądamy na zdjęciu. Zwierciadła jej wód o wymiarach 25 x 12 m pozwalają na organizowanie klubowych zawodów międzyszkolnych. Przez szklaną ścianę wpływa światło dzienne. Wieczorem przegląda się w wodzie światło jarzeniowe. Hala ogrzewana łoczonym powietrzem wyposażona jest w odpowiednie urządzenia do podgrzewania i oczyszczania wody.

my na zdjęciu. Zwierciadła jej wód o wymiarach 25 x 12 m pozwalają na organizowanie klubowych zawodów międzyszkolnych. Przez szklaną ścianę wpływa światło dzienne. Wieczorem przegląda się w wodzie światło jarzeniowe. Hala ogrzewana łoczonym powietrzem wyposażona jest w odpowiednie urządzenia do podgrzewania i oczyszczania wody.

RZECZYWISTOŚĆ, KTÓRA PRZEROSŁA MARZENIA

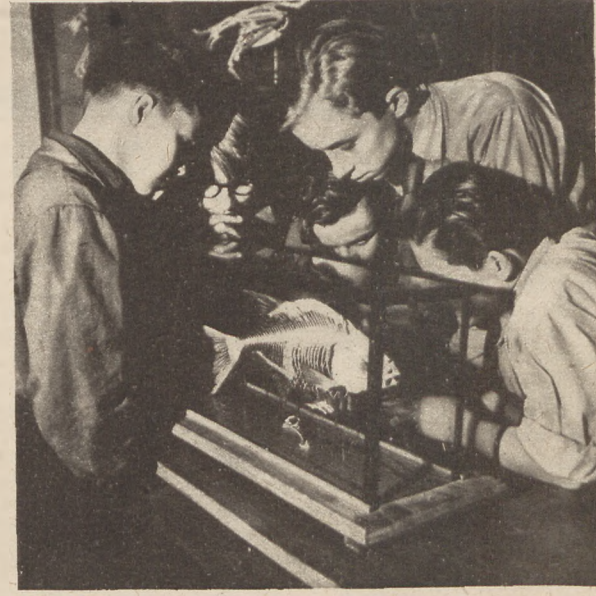
Zdjęcia: W. SŁAWNY



Stolarnia. Mały stolarz z zapalem piluje deski. Już chyba ma przed oczyma przedmiot, który z nich zbuduje. Może będzie to mała skrzynka, może półka lub krzesło. A kiedyś, gdy mały stolarz dorośnie, będzie może pracował w wielkiej wytwórni mebli, z której gustowne szafy, stoły i tapczany powędrują wprost do mieszkań robotniczych.



Biologia? Matematyka? Nie. Te przedmioty są dla mnie tylko koniecznym dopełnieniem wiedzy ogólnej. A istnieje dziedzina, która wzrusza mnie najgłębiej. To rzeźbiarstwo. Podporządkowanie niekształtnej gliny moim palcom, mojej wyobraźni. To chyba największe szczęście. Oto powstanie kura. Zobaczycie, że będzie jak żywa! Jak prawdziwa!

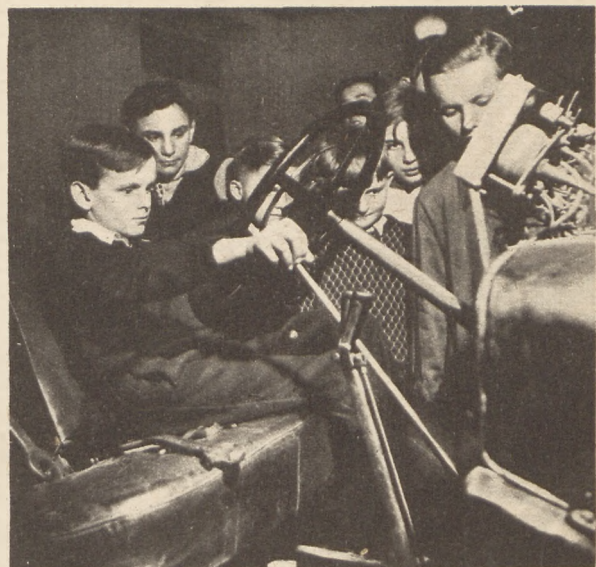


A nas właśnie interesuje anatomia! Uczymy się jej na szkieletach ryb. „Tu w naszych warsztatach — mówi dyrektor Pałacu Młodzieży ob. Małkowski — dziecko śląskiego hutnika, górnika z Dąbrowy, inżyniera z przemysłu metalowego, będzie kształtować i rozwijać swoje zainteresowania. Mniej będzie kłopotu z wyborem studiów”.



Mamy w naszym Pałacu wspaniale wyposażoną salę biologii. Ilez to ciekawych rzeczy dostrzec można przez mikroskop! Poza salą biologii jest w Pałacu pracownia konstrukcji żelaznych, modelarnia lotnicza, szkutnicza ze specjalnym basenem do wypróbowania wykonanych przez młodzież modeli łodzi i statków — a także sala muzyczna.

Czy chcecie zapoznać się z inwentarzem działu muzycznego? Obejmuje on: 4 fortepiany, 5 pianin, 32 akordeony, 43 skrzypiec, 20 mandolin, 18 gitar, 53 instrumenty dęte, 20 sygnałówek, 20 werbli. Ale w Pałacu Młodzieży jest jeszcze atrakcja, o jakiej dawniej marzyć było trudno. Jest garaż i kilka samochodów. Młodzi bywalcy Pałacu mogą



zaznajomić się z konstrukcją samochodów i nauczyć szoferki. Rysio M., syn stalownika z huty „Pakój” miał kłopot z wypełnieniem ankiety. Rok urodzenia, warunki mieszkaniowe, zajęcie rodziców — to proste. Ale kierunek zainteresowań? Zastanawiał się kilka dni. Tyle działów w Pałacu Młodzieży. Tyle nowych, ciekawych zagadnień pasjonuje.



— Chciałabym zostać przodownicą sportu. — Chcę ćwiczyć boks i pływanie. — Chcę nauczyć się skoku wzwyż i w dal. — Nie. — Zdecydowała się w końcu i wybrała jak widzimy — fechtunek. Specjalne kostiumy, rękawice, maski chronią przed wszelkim skaleczeniem. Bo nie są to żadne „zwady rycerskie”, ale pojedynki... na nity.



Takie same zadowolone miny jak adepci stolarki mają wszystkie dzieci w Pałacu Młodzieży. Nie będzie wśród nich nikogo ze zmarnowanym talentem, uspionym zainteresowaniem, niewyżytkanymi zdolnościami, niezaspokojoną tęsknotą. Pałac Młodzieży w Katowicach jest jednym z ważnych posterunków opieki nad młodymi talentami.

Młodzież, obdarzona przez państwo tym, co ma ono najlepszego, zaprawia się do pracy dla państwa według najlepszych swych sił. Kiedyś, gdy dorosną, gdy zdobędą dyplomy inżynierów, profesorów, lekarzy, gdy staną się muzykami i rzeźbiarzami — synowie śląskich górników czy hutników przypomną sobie Pałac Młodzieży w Katowicach.



W pięknie oświetlonej, ciepłej sali o lśniącej posadzce, dziewczęta uczą się rytmiki. Jeśli kiedyś zostaną instruktorkami, innym przekażą swe umiejętności. Jeżeli zaś wybiorą odmienny zawód — zawód inżyniera, lekarza czy biologa — gimnastyka i taniec zostaną ich ulubioną rozrywką. Rozrywką przyjemną i pożyteczną dla zdrowia.

Pożegnanie z FERNANDEM GARIMAUX

OPOWIADANIE

FERNAND widział Danielle. Nieco pochylona stała w nogach łóżka, szukając po omacku domowych pantofli. Jej biała koszula świeciła w ciemnościach. Stukanie do drzwi nie ustawało, lecz wciąż przybierało na sile.

Fernand, cichy, z twarzą ukrytą w poduszce, myślał:

„Jeśli chłopcy, dlaczego stukają w drzwi? Zawsze stukają w okno...”

— Idź, otwórz — powiedział — Dzieci się obudzą.

Danielle, tylko na pół rozbudzona, poczłapała ku drzwiom. Dzieci spały. Danielle wróciła. Towarzyszyły jej dwie elektryczne latarki.

— Fernand, wstawaj — odezwał się męski głos — Zaczyna się...

Fernand nie poznał, do kogo głos należy.

„Macarte czy Ferre?” — rozstrzygał w myśli, czując zadowolenie, że przecież przyszli po niego swoi.

Spuścił nogi na podłogę. Powiało chłodem. Czuł jak skóra łydek i ud twardnieje od zimna.

— Zapal światło, Danielle — rzekł.

— Uspokój się, mój chłopcze. Światła nie ma — powiedział przybysz i wybuchnął krótkim, urywanym jak kaseł śmiechem.

— To ty, Macarte? — spytał Fernand.

Danielle, już w szlafroku, postawiła na stoliku pod lustrem świecę. Płomień uniósł się w górę, opadł niżej, za dygotał i już uspokojony, odbijając się w lustrze, oblał środek pokoju żółtym niemrawym światłem. Przy łóżku stał Duvin, pochylony, mrugając małymi oczkami. To on mówił. Bliżej wejścia podparła ścianę błady i zmęczony Charbet. Fernand rzucił okiem na zegar tykający na szafie.

— Jeszcze nie ma trzeciej — mruknął.

Zastanawiał się, dlaczego sam Duvin zaszedł po niego. Nie golił się, obmył tylko twarz. Krępowało go, że czeka na niego delegat związkowy.

Mężczyźni milczeli. Fernand nie pytał o co chodzi, wiedział bowiem, że za chwilę, na ulicy, wszystkiego się dowie.

— No i gdzie wasz strajk?! He? — Danielle dawała upust swej złości. — Coście tak nosy pospuszczali jak na pogrzebie? Może choć powiecie, dokąd Fernand idzie i po co? Powiecie czy nie?

Duvin w milczeniu uśmiechnął się lekko.

— Bolcie się, że rogiószę? Udławcie się waszą tajemnicą...

Odwróciła się, trzęsąc w pasji głową.

Fernand wiedział, że towarzysze nie obdarzają jego żony zbyt wielkim zaufaniem, nie wierzą w jej dyskrecję i unikają przy niej rozmowy na poważne tematy. Było to według niego krzywdzące dla Danielle. Jednak nie próbował wpływać, by inni zmienili swe sądy o jego żonie. Był na to za ambitny.

— Spokojnie, spokojnie — rzekł do Danielle. — Nie rzucaj się. Wiesz, że nie przyszli tu dla przyjemności, a ja także nie wychodzę dla rozrywki...

— A co mnie to obchodzi... Możecie sobie robić, co się wam podoba...

Weszła za kretonową kotarę, gdzie mieściła się prowizoryczna kuchnia. Dzieci spały. Ich czarne główki spoczywały obok siebie na poduszce, ubarwione z lekką światłem świecy, wyglądały jak wielkie dojrzwające śliwki. Ulicą przejechał samochód. W oknie zadrgała firanka. Śpiące dzieci poruszyły się. Płomień świecy zamigotał. Fernand zapinając bluzę spojrzał pytająco na Duvin'a.

— Obstawiają fabrykę, rozumiesz? — parsknął Duvin z wściekłością.

— Fiuuu — gwizdnął Fernand.

W jednym momencie zmienił się. Stracił powolność. Senność go opuściła. Pospiesznie sznurował buty i zawiązywał skarpety.

— No, no — kiwał głową.

Nikt nie mógł dojrzeć w nim bodaj cienia bezradności. Koło drzwi Charbet przestępował z nogi na nogę. Nieostrożnie otarł się o półkę z garnkami. Zadzwieczał mosiądz, jak gong. Danielle zwróciła się w stronę dziecięcego łóżeczka. Fernand ukrył w kieszeniach małą paczkę i trzydziściową butelkę czerwonego wina.

Duvin wypowiedział słowo pożegnania, za nim wysunął się w milczeniu Charbet. Fernand objął Danielle ramieniem. Złe wyglądała. Oczy miała podkrążone, policzki zapadłe. Pocałował ją w usta. Wydawała się mniejszą niż była. Jej włosy, jeszcze rozrzucone z nocy, cofały się pod jego oddechem. Danielle dotknęła palcami kieszeni, w której schował chleb. Oczy jej spoglądały spokojnie i poważnie.

— Kiedy wrócisz? — spytała.

Fernand wzruszył ramionami.

— Skąd mogę wiedzieć? — powiedział głośno.

Musnął ustami jej czoło.

— Bądź zdrowa, — rzucił od drzwi.

Widział ją jeszcze jak stała oparta rękami o stół, patrząc w niego swymi burymi, wielkimi oczami o smutnym blasku wszystkowiedzącego, przedwcześnie dojrzałego dziecka. Włosy opadały jej na czoło. Odgarnęła je. I to był ostatni jej gest dostrzeżony przez niego. Ni to gest pożegnania, smutku, ni wzruszenia. Był on taki sam jak Danielle: trochę niezrozumiały, pod pozorem ściśle praktycznej celowości kryło się w nim coś, czego istnienie Fernand dokładnie wyczuwał, czego jednak w żaden sposób nie potrafił nazwać.

— Ciężko się rozstać z ciepłym łóżkiem i żonką — zażartował na ulicy Duvin.

— Ona taka wątła... Jest słabego zdrowia — rzekł Fernand, jakby dla usprawiedliwienia, sam nie wiedział, swojego czy jej...

Było ciemno. Tylko pojedyncze gazyowe latarnie półpromieniem rozjaśniały czarną noc. Mgła na tyle zrzędlą, że widać było białą, jak z cukru lub z soli kopolastą bryłę bazyliki Sacre-

Coeur i z drugiej strony ostry cień wieży Eiffla. To ciekawe, że te dwie najmniej stylowe konstrukcje Paryża najlepiej są widoczne o każdej porze dnia i nocy...

Śródmieście, jakby nieco w dole, błyskało rzadkimi światłami. Nie było zwykłej nocnej łuny nad wielkim miastem.

— Gazownię i niektóre elektrownie obsadzili wojskiem — mruknął Duvin.

Wszyscy trzech patrzyli na miasto i myśleli o jednym: o zaczynającym się dniu. Niebo na wschodzie jeszcze nie zjaśniało. Gęste wilgotne powietrze dawało w gardłach. Deszcz nie padał, ale bruki ulic, tafle chodników, dachy domów powleczone były lśniąca politurą wilgoci.

W ciemną, rozjarzoną tylko ognikami papierosów czelusę Domu Związkowego wpadali coraz to nowi ludzie zapinający guziki bluz, wiążący szale na ulicy lub jeszcze w bramie. Głośno klaskały uderzenia drewniaków o kamień chodników. Prawie że nie rozmawiano. Robiło się coraz ciśnień.

— Duvin — odezwał się w ciemności niski głos Rouard'a — powiedz wreszcie, czego ty od nas chcesz...

— Zaraz przyjdzie Feliks, on wam powie — odparł Duvin.

Feliks — mało kto znał jego nazwisko — był delegatem komitetu dzielnicowego Komunistycznej Partii Francji na zakłady przemysłu samochodowego Periquet. Gdy Feliks brał w czymś udział, było rzeczą oczywistą dla każdego, że sprawa jest poważna.

— A to wszyscy partyjni?

— Nie partyjni, tylko związkowi — podkreślił twardo Duvin. — Towarzysz Feliks jest działaczem związkowym. Zrozumiano?

— No tak, jasne. A zresztą, to wszystko jedno — wycofywał się Victor, zawiadowca sali mechanicznej obróbki gdzie pracował Fernand. — Przecież jesteśmy tu sami swoi...

— Ech, Victor — powiedział Duvin — żebyś ty miał taką głowę w robocie jak masz w polityce, to nie siedziałbyś na stołku zawiadowcy, lecz zamiatałbyś ulice...

— Co się czepiasz? Złe mówię, że jesteśmy tu sami swoi?

— A jakbyś chciał? Po co jednak pleciesz? He?

Bezpartyjni: Veuillat i Lucquin roześmiali się głośno. Victor od czasu jak wstąpił do partii starał się, gdy tylko mógł, dać innym odczuć swoją wyższość. Nikomu to się nie podobało, najmniej zaś bezpartyjnym. I dlatego teraz, gdy Victor dostał od Duvin'a po nosie, śmiali się z satysfakcją.

Niemal nikt nie zauważył, kiedy nadszedł Feliks. Usłyszeli jego basowy, piękny głos. Feliks był niski, chuderlawy, pochylony — prawie jak garbaty. I głos jego, gdy mówił, jakby wychodził znad samej ziemi.

— Towarzysze — powiedział Feliks — musimy obsadzić fabrykę...

To była doprawdy sensacyjna nowina. Przecież rozeszli się zaledwie pięć godzin temu. Zebranie proklamujące przystąpienie załogi zakładów samochodowych Periquet do powszechnego strajku trwało niemal do godziny jedenastej wieczorem. A wczoraj nikt nie mówił o strajku okupacyjnym...

— Fajerant diabli wzięli? — spytał dowcipnie Rouard. — Zamiast strajku idziemy trzy godziny wcześniej do roboty?

Feliks nie podtrzymał żartów, choć normalnie mało kto mógł mu dorównać w dowcipie i ciętości języka. Zresztą nikomu już nie przyszło na myśl, żeby żartować. Feliks ściszył głos i ludzie otoczyli go ciasno, ścisnęli się dookoła niego, nie chcąc stracić ani słowa.

Feliks nie mówił długo.

W zupełności wystarczyło mu dziesięć minut, by opowiedzieć co ważne go zaszło.

2

Czym jest dla dziennikarza brak wiadomości agencyjnych łatwo sobie może uzmysłowić każdy, nawet najmniej obznajmiony z techniką dziennikarskiej pracy. A już w przeddzień strajku kursowały plotki, że nazajutrz agencje francuskie nie będą w stanie rozesłać komunikatów. W takim wypadku wielkie światowe biura prasowe - informacyjne, jeśli idzie o Francję, zdane na pomoc swych francuskich filii, również byłyby skazane na milczenie. Telefony — według tych obiegających zainteresowane sfery pogłosek — miały zamilknąć wraz z centralą rozmów międzynarodowych...

John Stewess, przedstawiciel i korespondent odpowiedzialny wielkiego brytyjskiego koncernu prasowego Shoper and Shoper, kontrolującego siedemdziesiąt pięć procent prasy brytyjskiej a z kolei kontrolowanego przez odpowiednio silniejszego amerykańskiego partnera — sam dowiedział się o wszystkim i sam wszystko sprawdził. W informacyjnym biurze prasowym dla zagranicznych korespondentów, Helena Laclot, z którą już chyba od dwóch lat był na „ty”, oświadczyła mu, że zapowiedziany przez CGT strajk, o ile w ogóle się odbędzie, obejmie tylko niewielkie zakłady pracy i — tak wesoło powiedziała mademoiselle Laclot o opalonej na oliwkowo twarzy z uroczym dołkiem w brodzie — „minie niezauważony, dezorganizując jedynie życie robotników”.

— Czytałaś „l'Humanite”? — spytał Stewess, kładąc przed urzędniczką numer dziennika.

— Ach, to mało ważne. W ministerstwie spraw wewnętrznych i w Radzie Państwa panuje całkowity optymizm. Nie ma nawet mowy o opanowywaniu sytuacji. To będzie niepotrzebne. Komuniści przegrali strajk przed jego rozpoczęciem.

Stewess z zastanowieniem pokiwał głową. Równocześnie ogarnął go smutek.



Rys. Charlie

Glóg dalszy nastąpi

noc mnie wygnała noc mnie przygnała...

...rzekł o sobie jeden z ludzi, o których opowiada dziś reportaż napisany przez **Lucjana Wolanowskiego** i zilustrowany przez **Wiesława Prażucha**. Omawiamy w nim ważny problem, którego rozwiązanie sprawi, że — kiedy lata przeminą — rok 1951 będzie datą historyczną, przekazywaną pokoleniom. Ktoś kiedyś powiedział: „Lubię dziennikarzy już choćby tylko za to, że są jedynymi ludźmi, którzy biorąc pióro do ręki nie myślą o nieśmiertelności”. Tak, to prawda — ale za to sprawy o których się pisze, stają się niekiedy nieśmiertelne. Pochłonięci rytmem dnia codziennego, zatracamy niekiedy wagę spraw dzisiejszych, które jutro będą historią. Za przykład niech służy zwalczanie w roku 1951 analfabetyzmu w Polsce, czyli rozprawienie się z tą klęską jako problemem.

PRZYJDA czy nie przyjdą? — zadaję sobie nie wiem już po raz który najbardziej dręczące mnie pytanie. Małą, ręczną latarkę celowo skierowuję w okno od drogi, aby nikt nie ważył się wątpić, że kurs dla analfabetów rozpocznie się dziś na pewno. Dla pewności wychodzę na drogę wiejską i oddalwszy się kilkanaście kroków od budynku szkolnego sprawdzam, czy światło okna klasowego jest z daleka dostatecznie dostrzegalne i widoczne... Siedemnasta już minęła, a moich uczniów jak nie było tak nie ma. Ze wzrastającym niepokojem myślę o wypalającym się już świetle latarki i czekam dalej... Na stole leży dziennik. Odruchowo otwieram go i raz jeszcze przebiegam oczyma znane nazwiska...

Tak pisze Teofila Masalska, która na wsi pod Szczecinem uczyła chłopów czytania i pisania. Owe jesieni 1949 roku tak samo i w tysiącach innych polskich wsi rozgorzało światło — wśród mroków nocy, wskazując drogę ciemnym ludziom. Tak samo i w tysiącach innych wsi i miast polskich nauczyciele otwierali dzienniki szkolne, wertując listy nazwisk.

7 kwietnia tegoż roku Sejm powziął w Warszawie historyczną uchwałę o likwidacji analfabetyzmu w Polsce, postanowił podjąć dzieło na które czekały pokolenia. Do ofensywy na ciemnotę ruszyła anonimowa armia nauczycieli zawodowych i społecznych, których amunicję stanowiło 2.200 tysięcy specjalnie dla analfabetów opracowanych podręczników.

DOPIERO WIEM, ŻE ŻYJE

Dlaczego nie umieli czytać ani pisać? Wyobraźmy sobie przez chwilę, że rozłożono przed nami wielki dziennik klasowy, dziennik kursów analfabetów z całej Polski, w którym znajdujemy 800 tysięcy nazwisk. Wywołajmy do tablicy poszczególnych uczniów, którzy przez minione miesiące siedzieli na ławach szkolnych i zapytajmy ich, dlaczego nie nauczyli się pisać za młodu. Możemy to uczynić, przeglądając pamiętniki byłych analfabetów, którzy do niedawna jeszcze podpisywali się tylko krzyżkami. Lektura ich pamiętników jest wstrząsającym przeżyciem. Pamiętniki te oskarżają dawną niewolę polityczną i społeczną, wadliwy ustrój szkolny, upośledzenie sierot, przymusową tułaczkę za chlebem, i wojnę! Pamiętniki te pisane są niezdarnymi literami — ale ile w nich treści! Ludzie ci piszą krótkimi, urwanymi zdaniami —

mi — tak jak mówi zdyszany człowiek, który wreszcie dobiegł do mety. Sformułowania są proste ale głęboko przemyślane — widzi się, że piszący czekali niemal całe życie, aby myśli swe przelać na papier.

A więc otwieramy tę wielką księgę — czytamy z listy nazwiska i problemy, słyszymy melodię wygraną „na skrzypcach epoki smyczkami cierpienia”.

NIEWOLA SPOŁECZNA: Opowiada Władysław Stepień, urodzony w roku 1907 w Woli Soleckiej, pow. Iłża. „Do szkoły nie chodziłem, bo służyłem u bambra... Potem pracowałem po majątkach. Noc mnie wygnała, noc mnie przygnała — za Polski sanacyjnej nawet swych dzieci dobrze nie znałem...”

DOLA SIEROCHA: „Ja nazywam się Alfreda Zalewska. Ja urodziłam się w 1914 roku w Rypinie. Moja matka umarła, to ja byłam mała, parę tygodni. Babka była stara, chodziła po proszonym chlebie. Ja byłam u ludzi obcych pod opieką. Ja pasłam krowy i zarabiałam na życie. Byłam sierotą i o mnie się nikt nie kłopotał. Mam jednego synka, którego na wychowanie dać musiałam. Inaczej nie mogłam dać sobie rady. Synek miał u tej kobiety dużą krzywdę. Dziś mam w Polsce Ludowej dobrze. Dziecko chodzi do przedszkola, dostanie jeść i ma opiekę. Uczy się razem z innymi dziećmi. Ja się nauczyłam czytać i pisać i rachować. Przeczytałam gazetę i książki. Co mi więcej brak? Z całego serca dziękuję naszej ludowej ojczyźnie za to wszystko dobre, co dla nas zrobiła. Dziś mam 37 lat, dopiero wiem, że żyję”.

DOLA TULACZA: Andrzej Studnicki, który urodził się w Stryśzowie koło Wadowic opowiada o sobie, że niemal przez całe 63 lata swego dotychczasowego życia, tułał się za chlebem po obcych krajach, że Polska była mu macochą a nie matką. Jego ojciec był bezrolnym chłopem i nie mógł wyżywić 15 swych dzieci. Andrzej już od 8 roku życia pracował na siebie. Chciał uciekać od straszliwej, galicyjskiej nędzy. Przeszedł pieszo 60 km do stacji kolejowej, by następnie pojechać pod wagonem na Węgry — bez pieniędzy, bagażu i dokumentów. Tak się zaczęła jego tułaczka, która wiodła go niemal że przez wszystkie kraje Europy — gdzie tylko potrzebne były tanie, polskie ręce do roboty. Dzięki niebywałym zdolnościom, władał dobrze i bez widocznego akcentu 12 językami obcymi. Jakkolwiek opanował je tak, że podczas I Wojny światowej zatrudniony był jako tłumacz w wojsku austriackim, to jednak tylko w słowie — nie umiał bowiem pisać ani czytać w żadnym, nie wyłączając polskiego. Wydalony za działalność lewicową z Francji, powrócił do kraju i pracuje obecnie w Nowej Hucie, gdzie przestał być analfabetą.

DROGA POWROTNA W MROK: Jan Roszak ze wsi Dobre w gminie Sędzin pisze: „Szkół miałem za sobą ledwie 2 lata. Później trzeba było pracować na chleb i pomagać rodzicom a książki nie brałem do ręki, więc wszystko co umiałem — zapomniałem”.

BRAK SZKÓŁ: 48-letni Stanisław Aneki z Górnego Szpetala, pow. Lipno pisze: „Do szkoły nie chodziłem, ponieważ we wsi szkoły nie było a rodziców nie stać było na posyłanie mnie do szkoły w mieście”.

PRYMULKA W NAGRODĘ

Żadne wielkie przedsięwzięcie nie idzie łatwo, nie obywa się bez walki... Walkę tę widać na każdej stronie te-

Dołączono na str. 31



Do historii przejdzie fakt, że Polska Ludowa wyrwała 800 tysięcy ludzi z mroków analfabetyzmu. Ta chłopka z Chorzyny umie już dziś czytać i pisać.

Chłopi z Chorzyny abonują dziś dziesięć razy więcej czasopism niż przed rozpoczęciem walki z analfabetyzmem — mówi listonosz wiejski Józef Lewara.



UCZTA BALTAZARA

POWIEŚĆ

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW:

Kim jest Andrzej Uriaszewicz? Jest to chłopak pochodzący z inteligencji. Przed wojną studiował na Politechnice. Okupację przeżył w kraju. Brał udział w powstaniu. Przeszedł przez obóz, wylądował na bruku paryskim. Tam zetknął się z ludźmi, u których przez całe życie pracował jego ojciec. Z — Lewartami! Do niedawna jeszcze właścicielami wielkich zakładów chemicznych w Warszawie. Oni to skłaniają Uriaszewicza do powrotu.

Ale bynajmniej nie z myślą, aby pracować! Ma w Warszawie odnaleźć cenny obraz, słynną „Uczę Baltazara“ pędzla Veronesa. Odnaleźć i — wywieźć z kraju. Na kandydata do tej wyprawy młody Uriaszewicz nadaje się szczególnie. Za okupacji pomógł Lewartom ukryć „Uczę“. Sam ją zamurował. Łatwo do niej trafi.

Nie tylko z tych czysto technicznych względów nadaje się. Nadaje się również dobrze — ze względów psychologicznych oraz ideologicznych. Wstrząs popowstaniowy sprawił, że o kraju myśli jak o pogorzelisku, które przez wieki nie otrząśnie się z popiołów. Z tak beznadziejnego pogorzeliska wyciągnąć coś, nawet jeśli to ma być dla Lewartów i nawet jeśli się ma to wywieźć w świat — nie jest czynem niegodziwym.

Z takim bagażem przekonań i przesłanek przybywa Uriaszewicz do kraju na wiosnę roku 1947. A u nas jest już po wyborach. Jesteśmy w pierwszym roku planu trzyletniego. W pełni odbudowy.

Nie widzi tego Uriaszewicz. Jak w ciemnym wąwozie, albo raczej jak w całym labiryncie wąwozów, krąży od jednego domu do drugiego. Od krewnych do krewnych. Od znajomych do znajomych. Ma oczy tylko dla ruin, uszy tylko dla białych, myśli tylko dla „Uczt“. Nie widuje innych ludzi, prócz określonego koła, głównie z dawnej dyrekcji lewartowskich zakładów, spalonych w powstaniu. Od sióstr ojca i babki, zamieszkałych na terenie dawnych zakładów, słyszy same skargi. Od Hazy, swego krewniaka, przed wojną zawsze bez grosza, teraz właściciela garażów samochodowych rozporządzającego ogromnymi sumami, słyszy same pomstowania. To samo powiada baron Dubieński, arogant i z jakichś zagadkowych przygód kompan Hazy, którego szantazuje. W ten sposób, niejako pikietowany, Uriaszewicz nic innego by nie usłyszał, gdyby wszystko poszło tak, jak się spodziewał. Wróciłby do Paryża akurat taki, jaki wyjechał. Ale nie wraca od razu. Rzecz się zaczyna wkleść „Uczę“ w miejscu, gdzie była zamurowana, nie ma!

Machnąć na nią ręką? Łatwo się tak mówi! Ale trudniej to zrobić komuś, kto wiązał z nią duże nadzieje. Nadzieje zysku, nadzieje na pewien kapitał, który pozwoli osiedlić się w jakimś cichym kącie we Francji. Próżne nadzieje? A może jednak nie zupełnie? Może się gdzie odnajdzie to malowidło? Zamurowywał je wspólnie z Andrzejem stary, oddany Lewartom Kienzla, również kiedyś urzędnik dyrekcji. Ponoć zmarł zaraz po powstaniu. Lecz na ten temat krążą różne zdania. Konrad Uriaszewicz, stryj Andrzeja — pracujący nadal w przemyśle chemicznym na wysokim stanowisku, twierdzi, że zginął. Gotów jest nawet na to przysiąc. Niejaki Nacewicz natomiast, przed laty kierownik laboratorium u Lewartów, zapewnia że go widział, na malej stacyjce pod Sochaczewem. I to, okazuje się prawdą. Kienzla żyje!

Ukrywa się w tych okolicach. O tym powiedział mu, zaklinając na wszystkie świętości, by nic z tego co usłyszy nikomu nie zdradził — mecenas Rokiciński. Szukać go trzeba ostrożnie, nigdy przez milicję, czy przez ogłoszenia! Jakoś inaczej! Papiery ma obecnie na nazwisko Grelowicz. Adres jego bliższy, jest nieznany nikomu. Ale gdyby tak zamieszkać w pobliżu owej stacyjki, na której widział go Nacewicz i odnaleźć? Andrzej decyduje się na to.

Nie wyrusza jednak natychmiast. W Warszawie jest gościem Hazy, bo nie ma pieniędzy. Pod Sochaczewem nie ma znajomości, a szukanie może się przeciągać całe miesiące. Rozwiązałaby sprawę posada. Na przykład w szkolnictwie. W szkolnictwie rolniczym, o którym słyszał od panny Klimontówny, mieszkającej w tej samej stróżówce, co panie Uriaszewicz. Tym szkolnictwie, które wciąż potrzebuje ludzi. Właśnie przez pannę Klimontówną Uriaszewicz otrzymuje miejsce w Jeżowej Woli. Ale wyjazd jeszcze odwleka.

Z Paryża powrócił razem z najmłodszą siostrą swego ojca, słynną Joanną D'Urcins-Uriaszewiczówną, tancerką o światowej sławie, nie występującą już obecnie po ciężkiej chorobie stawów, lecz nadal znakomitą siłą pedagogiczną.



Uczyć będzie w kraju. Z tą myślą przyjechała. Trawi ją tęsknota za matką, której nie widziała od dnia swej ucieczki z domu, przed dwudziestu kilku laty. Ucieczki tej nigdy nie wybaczyły jej dwie siostry głoszące, że przez taki skandal zmarnowała im życie.

Nie ze względu na Joannę, Uriaszewicz opóźnia wyjazd. Pragnął zetknąć się z pewną dziewczyną, na którą kiedyś zwróciła mu uwagę. Młodziutką uczennicę Joanny, Halinę Stępczyńską. Lecz do spotkania nie dochodzi. Wciąż się jakoś nie składa. Niesposób odwlekać wyjazdu dłużej. Los zrządza, że na dworcu, odprowadzany przez Joannę i Hazę, w ostatnim momencie poznaje ją. Chwila rozmowy z nią sprawia, że żal mu opuszczać Warszawę.

Jednak w Jeżowej Woli, i żal ten i „Uczę“ schodzą na drugi plan. Szkoła pochłania Andrzeja. Zajęć codziennie przybywa, w samej szkole i w pobliskiej powstającej fabryce penicyliny, gdzie Andrzej uczy matematyki na kursach dla przyszłych laborantów. Sprawą importu z zagranicy aparatury dla tej fabryki zajmuje się stryj Andrzeja, Konrad Uriaszewicz, za okupacji zagorzał „londyńczyk“, a po wojnie podejrzliwie skwapliwy „porządkowiec“.

Z Warszawy przywiózł Andrzej list od prałata Zawiczyńskiego do proboszcza sąsiedniej parafii, księdza Sposa. Tak go wciąga szkoła, że dopiero po kilku tygodniach zanoszą list. Ksiądz skłoniwszy okoliczny kler, może mu poszukiwania ułatwić. Ostatecznie otrzymuje adres Kienzla. Lecz kontakt ze Sposem staje się przyczyną nowej poważnej komplikacji. Bo kiedy w wyniku napadu na przyszłą wytwórnię penicyliny pada jej pracownik, Kuszel, ślady prowadzą wprost do księdza, który jak widać, bynajmniej nie kontentował się wyłącznie bliskimi stosunkami ze swoimi owieczkami i ze światem eklezjastycznym.

Spos umyka z plebanii przed przyjęciem milicji. Andrzej na podstawie uzyskanej informacji odnajduje Kienzla i „Uczę“. Postanawia przejąć od niego obraz. Okropny stan nerwowy Kienzla, który w czasie okupacji został volksdeutschem, czyni sprawę przejęcia pilną, Uriaszewicz powraca od niego do Jeżowej Woli i prosi dyrektora szkoły, Tomczyńskiego, o parodniowy urlop. Uzyskuje go. Lecz w pociągu do Warszawy, pewne przypadkowe i z pozoru nic nie znaczące słowa dyrektora, nagle stają mu w pamięci. Słowa, które zdają się wskazywać na to, że i na niego mogą paść jakieś podejrzenia w związku z zabójstwem Kuszla. Odwiedzał przecież księdza Sposa na parę dni przed morderstwem. Prawdy zaś wyznać nie może. We wszystkim, co w jakikolwiek bądź sposób łączy się z osobą Kienzla, jest przecież związany przysięgą daną Rokicińskiemu!

W Warszawie, nie zastaje Klimontówny, która udzieliłaby mu rozsądnej i uspokajającej rady. Pyta o zdanie Hazy. A Haza właśnie szuka ludzi do swojej „roboty“ — rzecz prosta — nie tej legalnej, nie do garaży. Umyślnie więc pogłębia w Andrzeju zamęt. Rokiciński ze swej strony dolewa oliwy do ognia. Haza sądzi, że zwerbuje Andrzeja. Rokiciński byłby spokojniejszy, gdyby Uriaszewicza nie było w Polsce. On to bowiem wyrobił fałszywe papiery Kienzlowi. Zdezorientowany Uriaszewicz decyduje się! Lewartowie na wypadek, gdyby nie było szans na wywiezienie obrazu, upoważnili Andrzeja do sprzedania go w kraju. Na wsi Uriaszewicz całkiem już porzucił myśl o ucieczce. Postanowił zostać. Nawet w razie gdyby znalazł „Uczę“. Myślał, żeby zakończyć jej sprawę, pośrednicząc między Lewartami a Muzeum Narodowym. Lecz udręczony czyni krok wstecz. Postanawia opuścić kraj. Udaje się na wyprawę z Hazą i Stępczyńską po „Uczę“. Zabiera obraz do Warszawy. Po drodze sprawdza stan malowidła. W porządku! Tylko blaszana puszka, w której obraz był przechowywany, jest lekko uszkodzona. Zsunęła się właśnie na kamienie przy wjeździe w las. W ów las w pobliżu Łowicza, gdzie Andrzej długo rozmawiał ze Stępczyńską. Wyznał jej wtedy, że ucieka. Usłyszawszy o tym Halina Stępczyńska od dawna pod wpływem Joanny, jej siostry, o sobie mówi, „chora na Zachód“ — poprosiła:

— Zabierz mnie z sobą.

Nie zabrał jej jednak owego wieczoru, gdy opuszczał Warszawę. Ani jej, ani „Uczę“. Miał porozumieć się z Hazą w oznaczonym terminie, kiedy wszystko byłoby gotowe. A na razie Uriaszewicz wyjechał sam. Do małego portu na ziemiach zachodnich, Olikań, gdzie kapitanem był jego stary znajomy sprzed wojny Jan Birkut, usunięty w 1937 roku ze stanowiska starszego asystenta na Politechnice, za lewicowe przekonania.

(T. B-a).

„I obok grobu naszego towarzysza Aleksandra Krystosza, który zginął w listopadzie czterdziestego piątego roku, ratując podczas sztormu kabel jeszcze niezabezpieczony, przeprowadzany w tym czasie do światła wejściowych portu. Uszli obozów, uszli zdrowo w bitwach, uszli najcięższym represjom, karnym robotom i bunkrom, jak Aleksander Krystosz, elektrotechnik z Bydgoszczy. a skończyli kładąc podwaliny pod nowe życie naszego miasta.

„Trudno zliczyć ile mu trzeba było wtedy dać z siebie. Towarzysz Czeczuga, cieśla portu Sasin, strażnicy Smółdziński i Heyke wiele mogliby opowiedzieć. Gołymi rękami wydrapywali skąd się dało narzędzia, części motorów, materiał, bywało nawet rozwleczone po polach o całe kilometry za Olikaną, mając pewne informacje, dotyczące rozbitych niemieckich transportów ewakuacyjnych.

„Ruszał się człowiek w tej sytuacji jak umiał najlepiej. Od zadania do zada-

nia. Od skompletowania narzędzi — na odcinek prądu, od prądu — do remontu pierwszych kutrów, od kutrów — do jakiegoś takiego oporządzania przed zimą budynków kapitanatu i warsztatów.

„Mielśmy już wtedy w mieście i zarząd miejski i punkt repatriacyjny i trochę różnych pełnomocników. Było też w mieście poza tym, co najważniejsze, że sto par ludzkich rąk do pracy. Przybywało ich i przybywało. Przeważnie z myślą o nas, tylko, że nie docierali do nas, do portu, ponieważ port znajdował się na dalszym planie. Musiała przedtem ruszyć kolej, gazownia, musiała przedtem zostać uporządkowana sieć kanalizacyjna. A z kolei dźwignięte i puszczane w ruch obiekty, nie tak rozbite jak my, nie takich wymagające nakładów.

„Ale przez to praca u nas nie zamierała. Nie daliśmy jej się zatrzymać i każdy w mieście wiedział, że się robota posuwa. Na znak, że nad rozbitym portem

nie został postawiony krzyżyk, od razu wśród tej pustyni ruin i martwej ciszy portowej wyciągnęliśmy na maszt przed kapitanatem naszą flagę. Zeszliśmy ją z białego płótna oraz z płótna czerwonego. Tego ostatniego koloru dostarczył nam Hans Gloeckner, przeznaczając na ten cel kawałek sztandaru, starego sztandaru miejscowej organizacji Komunistycznej Partii Niemiec, który przetrwał u niego w domu czasy Hitlera.

„Również w tym celu wyporządkowaliśmy krok za krokiem wszystkie światła portowe, a w wolnych chwilach na koniec zrobiliśmy nasz kapitanat na bóstwo, żeby oko ciągnął białością świeżych tynków, jaskrawością dachu, uporządkowanym wokół ogródkiem. A z rzeczy poważnych, o! na przykład, wydosłaliśmy na brzeg w sumie siedemdziesiąt mniejszych jednostek, z czego dwadzieścia sześć kutrów, następnie wyremontowanych i przekazanych w ręce rybackie. Zresztą szkoda czasu wszystko szczegółowo wyliczać i nawet niesposób. Przemawiający przede mną obywatel, delegat urzędu morskiego w Gdyni, właśnie oddał tutaj Olikanie sprawiedliwość, stwierdzając, że na ten moment, kiedy nareszcie przyszedł u nas czas na ostateczne, szturmowe przystąpienie do robót, przygotowała ona port“.

Kapitan Birkut sięgnął po chustkę. Przez chwilę ocierał twarz. W sali było duszno, przy drzwiach panował tłok. Pomimo więc, że je na oścież otwarto, nie dawały przewiewu.

„Szturmujemy! — znowu rozległ się jego niski, huczący głos. — Jest pośpiech, urwanie głowy, gorączka. Da się w końcu spokojnie pracować! W spokoju ducha. Bez lęku, że to prowizorka. Teraz można spokojnie pracować. Jak u siebie w domu, jak w swoim mieście. Czasy, kiedy ludzi nosiło u nas z kąta w kąt i pchało niewiedząco gdzie, albo raczej wiadomo gdzie: ku dworcowi, przechodzą do przeszłości.“

„Pamiętamy je! Te dogryzające nam wieczory, te dni ssące nas w dołku. Najlepszym nie przepuszczaliśmy. A nawet, trzeba powiedzieć, najsilniej dokuczały właśnie najlepszym. Tylko takim, którzy zdecydowani byli na pracę w tym mieście, tylko takim którzy rozumieli, że przyjechali tu nie na jeden dzień, nie na dwa!“

„Jedni mieli to powiedziane ustami naszej robotniczej partii, że trzymają ich na posterunku wola mas pracujących całego kraju. Ale nie wszyscy. Nie wszyscy, którzy przetrzymali, przepracowali, przetrwali ten okres z ufnością. W mieście, gdzie przecież, prawdzie spojrzawszy w oczy, nie może być życia nie związanego z portem, a gdzie port leżał martwy martwotą, z której byśmy go i przez dwadzieścia lat nie zbudzili przy naszym dotychczasowym tempie dłubanki!“

„Przetrwali, przetrzymali. A jak? Tak, jak każdy umiał. Różnie się o to ludzie starali. Sami i inni za nich. O to, by ten kąt naszej ojczyzny, zanim zacznie w nim płynąć normalne życie, uczynić już dziś możliwym i zwyczajnym. Starali się, nie lekceważąc niczego. W miesiącach, kiedy rwała się jeszcze aprowizacja, starali się o ciągły dopływ prasy. Kiedy jeszcze w zarządzie miejskim leciało podczas deszczu naszemu przewodniczącemu rady narodowej za kołnierz, starali się wpięrować w wyporządzenie tej naszej sali kinowej, żebyśmy mogli oglądać filmy i żebyśmy mieli gdzie się gromadnie zebrać w razie potrzeby, tak jak teraz. Tak samo postąpiono z kościołem, chociaż do dzisiaj towarzysze pepeesowcy stroją sobie zabawę z sekretarza naszego koła miejskiego Polskiej Partii Robotniczej, że nakładał na nas obowiązki organizacyjne zajęcia się tą sprawą.“

„Starani było dużo. Dużo inicjatywy. Idącej z dołu i płynącej z góry. Ludzie u nas starali się jak mogli. Teraz najcięższe minęło. Kto miał wiarę w swój kraj, w rząd ludowy, temu się ona wypłaci, bo przekona się, że na tej nowej, a z prawików naszej ziemi, znalazł zdrowie, pociągające i pełne życie. I już nie będzie go stąd więcej gnało, żeby wracać skąd przybył.“

„Zresztą przestało, jak tylko na cały regulator ruszyła u nas odbudowa! Obywatela Józefa Batorskiego, pracownika latarni, który przyjechał do nas z dalekiego Podhala, z gór, coś już od kilku niedziel nie oglądamy więcej z fajką, z laską, z pieskiem, pasącego cudze kozy na zboczach Zamkowego Wzgórza. Już mu widać zeszły z myśli owce i połoniny, kiedy tak zarzucił owe, jak je nazywał, góralskie niedziele. Już nasze miasto więcej ani mu obce ani dziwne.“

„I nikomu już takie nie będzie. A nawet ten, komu obecnie wypadnie w Olikanie zamieszkać, nie pojmie wypadku pewnego naszego towarzysza, którego do nas skierował związek transportowców i któremu, kiedy się po naszym porcie bez portu rozejrzyał, tak się wydało, że (bojąc się by go co nie podkusiło — a kusiło wtedy, jak wspominałem, i najmocniejszych) poszedł do restauracji i przepił ile miał przy sobie, żeby się pozbyć wszelkich pieniędzy na powrót“.

Zapanowała wesołość. Śmiech na sali nie ustawał i nie ustawał. Birkut czekał. Spojrzał na zegarek, a potem podniósł wzrok na widownię przybraną w łańcuchy z białą-czerwonej bibułki, w czerwone i białą-czerwone chorągiewki i w gałęzie buczyny.

„Zmiany są. Wywalczyli je ludzie ciężką pracą, ciężkim wysiłkiem — tak następnie rozwijał swoją myśl kapitan Birkut. — Rekami, nerwami, mózgiem, marnowaniem zdrowia, rzucając na szalę wszystkich sił. Niesposób szczegółowo wyliczać kto. Ale przemawiając dzisiaj, trudno nie wspomnieć o tych, o których my w porcie od wczoraj bez ustanku mówimy. Zgodzi się obywatel bosman portu, Czeczuga, zgodzą się i inni, to znaczy: motorzysta do obsługi pomp, obywatel Budziejewski, cieśla z naszych warsztatów, obywatel Sasin, starszy marynarz, obywatel Cyrus, marynarz, obywatel Czoska, że wspomnę tutaj ich nazwiska. W dniu wczorajszym powrócili oni po tym, jak został zaholowany do doków w Gdyni, wydobyty z naszego portu, wrak pogłębiarki. Jak wiadomo najgorzej dotąd staliśmy w Olikanie z zagadnieniem bagrowania. Pogłębiarek

w ogóle nie posiadamy dość na całe wybrzeże. Porty się o każdą rozbijają. My również, mając duże zamulenie. Dlatego kiedy zostało stwierdzone, że wrak pogłębiarki od nas w pełni nadaje się do remontu, stało się ważne nie tylko usunąć ją z toru wodnego, ale bezwzględnie doprowadzić do doków. Wymienieni wyżej towarzysze dokonali tego, mimo nagłego i poważnego niebezpieczeństwa. W zasadzie wrak nie miał dużego zniszczenia. Wszystkiego tylko jedną uczciwą dziurę w dnie, metr na metr, lecz poza tym resztę w porządku, również kocioł i maszynownię. Rok budowy *nota bene* też miał dobry, sprzed wojny, to znaczy tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy.“

„Ale w drodze wyszło na jaw, że nie jest tak bajkowo! Okazało się, że wrak rurę od kingstona też miał trzaśniętą. Zaczopowana na fest mułem i gliną dotąd nie przepuszczała wody. Kiedy jednak przyszła fala, najpierw martwa, potem przy rosnącym nord-weście coraz silniejsza, i to od burty, powolutku wyplukało z niej cały nabój piachu i gliny. Gdy obywatel Czoska, w tym momencie wachtowy, spostrzegł się, wyróżniwszy z maszynowni szum, była noc. Sprawdził, że rzeczywiście bije tam w górę woda. Gdy po kilku minutach zbudzeni Czeczuga i Budziejewski zbiegli, już było wody po kolana. Brodząc rzucili się szukać uszkodzenia. Aż natrafili na nie! Poszła wtenczas w wodę marynarka Czeczugi na pierwszą pomoc. Następnie jeden koc, drugi, ściągnięty na olaboga ze sterówki, zanim Sasin z Cyrusem zdążył przygotować kliny. Ale wtedy już zrywa się sztorm.“

„Żadnej swobody pracy, żadnego takiego oświetlenia, tylko ten naftowy „nietoperz“, który na dobitkę złapawszy wody, coś im się zaczyna w pewnym momencie coraz gorzej starać. Tłucze nimi w maszynowni, w ciasnocie przewodów i rur. Wrak chodzą z jednej burty na drugą. Mogą robić, kiedy dostaje przechył na stronę uszkodzenia, bo wtedy ono jest pokryte wodą. Kiedy jednak statek przewala się na zdrowy bok, z rozbitego miejsca bucha taki słup wody, że nie daje ręką przystępu. Na koniec już są gotowe kliny.“

„Wtedy Budziejewski z Sasinem i Czeczugą kierują się na górę przeciągnąć pompy. Pogłębiarka wyszła od nas z pompami na rufie, ponieważ miała plaster rufowy założony na swoim ujawnionym uszkodzeniu i tam spodziewaliśmy się ewentualnego przecieku. Teraz trzeba było przesunąć pompy na śródkręcie. Dwa półtonowe motory po chodzącym tam i sam, po tańczącym i zmiatającym falą pokładzie. To się tak mówi!“

„Balowali tak siedemnaście godzin — huczał dalej Birkut — w sztorm, w szkwał, który im paskudnie zawracał głowę przy ich zajęciu, swoim wciąż zmieniającym się, nierównym natężeniem. Trzy razy musieli zaczynać wszystko od początku, bo im luzowało kliny. I to za każdym razem dobrze ich brało do galopu. Nim się za pierwszym zawodem opatrzyli, wpięrować skończywszy z klinami i przetoczeniem pomp, założyć na wszelką okoliczność pasy ratunkowe, przeminęło jak strzelił półtora godziny! Dziewięćdziesiąt bitych minut jeden nieustanny zryw wysiłku!“

„A potem znów zdarzenie takiego samego rodzaju. A potem jeszcze raz to samo. Zaś w odstępach praca na zmianę przy pompowaniu i — los nie do pozazdroszczenia. A to

z tego względu również, że niebawem sztorm zabrał się z kolei do ich sterówki. Ona z całej pogłębiarki dostała w swoim czasie od bomby najgorzej. Tu ją wypchnęło, tam wgniotło, nit nita się nie trzymał. Przed rejsem daliśmy ją oszalować, załatać co było można deskami. Do wnętrza przyszedł piecyk, prycze, sienniki. A poza tym zapas jedzenia. Ale jak falą rzuciło raz, piąty, dziesiąty, dwudziesty, szalunek puścił. Poszło w morze i spanie i żywność, a nawet beczka wody słodkiej, zamocowana na pokładzie!“

„Holownik przybliżyć się do niej nie mógł, bał się; wrak taki nie posiada przecież żadnej swojej sterowności. Fala w każdej chwili potrafi nim rzucić jak najkapryśniej. Pytał ich, a nawet naprzykrzał się o zgodę na pewien manewr. Chciał ich obrócić i podciągnąć wprost na brzeg. Zaś resztę manewru już by wykonał wiatr i rozped.“

„Ale oni żadną miarą nie chcieli wyrazić zgody na to, żeby się dać wyrzucić. Byli zdania, że w ten sposób zmarnują pogłębiarkę albo w najlepszym razie pozwolą unieruchomić wrak na dodatkowe kilka miesięcy, zanim się go znowu ściągnie. O te kilka miesięcy odsuną dostarczenie go do doków. O te kilka miesięcy przewleką wyjście jednostki po odremontowaniu z doków.“

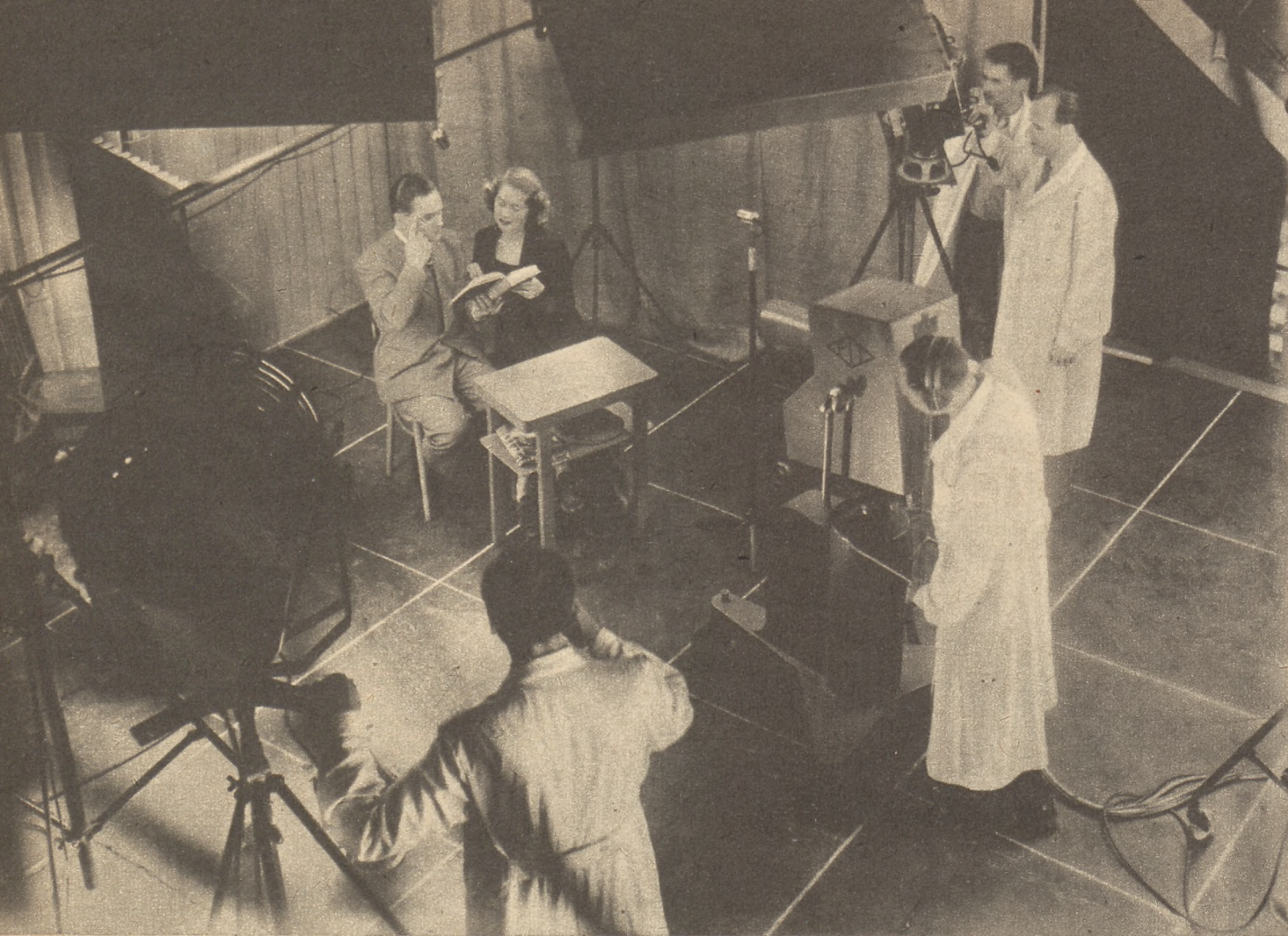
„Byli tego zdania i trzymali się go. I pchali się dalej *va banque!* Nawet kiedy przyszło im przecinać się wąską trasą przez pole minowe, gdzie ich przy sztormie i na trzystometrowym holu, potężnie daleko zawiązało na boki.“

„Pracowali przez tę ciężką noc i narażali się w zrozumieniu, że ich przekłeta łajba musi być dostarczona do doków, bo z niej za kilka miesięcy będzie dla portów korzyść, a my w Olikanie skorzystamy na tym od razu, gdyż po dostarczeniu łatwiej będzie nam się dopchać do tych pogłębiarek, które już pracują. Byli tego zdania i dzięki nim wrak od nas zabrany już obecnie stoi w Gdyni na roboczym ślipie.“

„Przez trud i hart takich towarzyszy — kończył Birkut — przez poświęcenie i krew innych, jest u nas w Olikanie, w mieście i w porcie, tak jak jest. Gotowość na przyjęcie w naszym porcie pierwszego statku wyznaczona nam została od dziś za cztery tygodnie. Do tego terminu harmonogram naszych robót jest wyszpanowany. To prawda.“

Balszy ciąg nastąpi



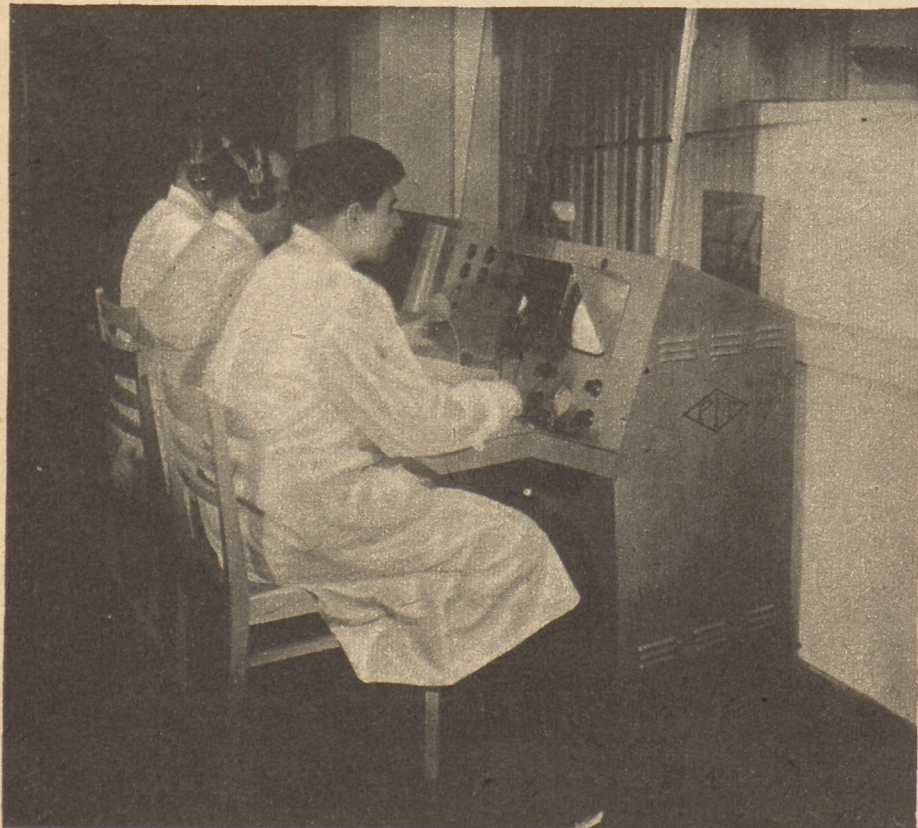


NAGRYWANIE SCENY Z UDZIAŁEM JANOWSKIEJ I DYMSZY W WARSZAWSKIM STUDIO TELEWIZYJNYM.

HALLO TU WARSZAWSKA STACJA TELEWIZYJNA...

ZBIGNIEW K. ROGOWSKI

W ODGRÓDZONYM POMIESZCZENIU PRACUJE APARATURA KONTROLNA.



ROK 1884. Pewnego jesiennego przedpołudnia w berlińskim Urzędzie Patentowym zjawił się nieśmiały, młody student tamtejszego uniwersytetu z pokaźną drewnianą skrzynką. Nieśmiałość źle służy wizytom w podobnych instytucjach — toteż musiał poczekać kilka dobrych kwadransów zanim urzędnicy raczyli zwrócić uwagę na niepozornego interesanta. Przedstawione przez niego rysunki i wykresy jak również przyniesiony w skrzynce przyrząd, nazwany przez młodego wynalazcę „elektrycznym teleskopem“, nie wzbudziły żadnego zainteresowania. Podzieliły one los wielu innych pomysłów: przez długie lata spoczywały w czełusciach Urzędu Patentowego, który w tym czasie niejeden raz stawał się cmentarzem ludzkiej inwencji. Zresztą sam student, o którym mowa, nie przewidywał wówczas wspaniałej kariery swego elektrycznego teleskopu. Nie przypuszczał, że swym depozytem kładzie teoretyczne podwaliny pod jeden z najbardziej olśniewających wynalazków nowoczesnej techniki — telewizję.

Nieśmiały interesant berlińskiego Urzędu Patentowego sprzed 87 laty, Polak z pochodzenia, urodzony w Wejherowie, obywatel niemiecki — nazywał się Paweł Nipkow.

TRIUMFALNY POCHÓD

Teoretyczne podstawy telewizji znane więc były już w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, na wiele lat przed wynalezieniem kinematografu i radia. Lecz dopiero późniejszy, szybki rozwój techniki umożliwił realizację wynalazku Pawła Nipkova, który uchodzi za pierwszego pioniera telewizji.

Oczywiście nie od razu wynaleziono telewizję w dzisiejszym pojęciu. Przejście od teleskopu Nipkova — urządzenia nadawczo - odbiorczego obrazów o charakterze mechanicznym — do nowoczesnej telewizji elektronicznej, to szereg etapów doskonalenia telewizji, etapów zamkniętych w kilkudziesięciu latach żmudnych badań i doświadczeń

uczonych i techników na obu półkuliach. Ich zbiorowy wysiłek przyniósł wspaniałe rezultaty: w latach trzydziestych naszego stulecia telewizja rozpoczyna swój triumfalny pochód na całym świecie.

„Telewizja“ jest połączeniem greckiego słowa *tele* — odległość i łacińskiego *video* — widzę. Dosłownie: widzę na odległość. A oto najbardziej ogólna definicja techniczna: telewizja jest przenoszeniem ruchomych obrazów na odległość.

Do zrealizowania telewizji potrzebna jest transformacja zjawiska optycznego na elektryczne i odwrotnie zjawiska elektryczne na optyczne. Tutaj telewizja korzysta ze zdobyczy radiotechniki, gdyż przenoszenie obrazów telewizyjnych na ekran odbiornika odbywa się podobnie jak przenoszenie dźwięków. Jak wiadomo dźwięk zamienia się w mikrofonie w prąd elektryczny, który pod postacią fal elektromagnetycznych jest wysyłany przez stację radiofoniczną do odbiornika. Na tej samej zasadzie obraz zdejmowany przez kamerę telewizyjną ulega rozkładowi na szereg linii złożonych z punktów świetlnych, te zaś z kolei zamienione w prąd w określonym porządku wędrują do stacji. Stacja wysyła odpowiednik elektryczny treści obrazu, pod postacią fal elektromagnetycznych do odbiornika telewizyjnego, gdzie następuje złożenie linii w tym samym porządku ponownie w obraz. Obrazy następują po sobie z ogromną szybkością, tak że nasz wzrok ma złudzenie ciągłości obrazu i ruchu. Równocześnie z obrazem występuje dźwięk rejestrowany przy pomocy mikrofonu.

Miarą jakości telewizji jest ilość linii w jednym obrazie — t.zw. standart. Im więcej tych linii, tym wyrazistszy jest obraz. Stwierdzono, że obrazem najwyższej jakości, przy najbardziej słuszych założeniach ekonomicznych jest obraz o standardzie 625 linii. Ten właśnie standart (stosowany również w eksploatacji w ZSRR) opracowali ostatnio w zakresie telewizji eksperymentalnej nasi technicy. Osiągnięcie to stanowi poważny sukces polskich techników, którzy bardzo niedawno, bo dopiero w r. 1948 podjęli pracę nad telewizją. Musiano zaczynać wszystko od podstaw.

W TELEKINIE

Dzięki pionierskiej i ofiarnej pracy kolektywu technicznego Samodzielnego Działu Telewizji przy Państwowym Instytucie Tele - Komunikacyjnym (PIT) już w niespełna półtora roku fachowcy ujrzeni po raz pierwszy obraz telewizyjny 441-liniowy, przesyłany na aparaturze całkowicie przez nich zmontowanej. Jednocześnie opracowano kilka typów doświadczalnych odbiorników telewizyjnych — telewizorów. Ostatnio skonstruowanym modelem jest szafkowy telewizor, przystosowany do odbioru obrazu 625-liniowego. Dużym osiągnięciem było również uruchomienie w gmachu PIT-u nowoczesnego studia telewizyjnego dla celów doświadczalnych.

— Hallo, tu warszawska stacja telewizyjna. Rozpoczynamy nasz codzienny program... Po takiej właśnie zapowiedzi spikera ujrzymy, już w niedalekiej przyszłości, na ekranie własnego telewizora lub w telekinie atrakcyjny program telewizyjny. Będzie co oglądać: reportaże, przedstawienia teatralne, wyścigi konne, pokazy mód, zawody sportowe, specjalne audycje dla dzieci, filmy fabularne, aktualności transmitowane bezpośrednio z miejsca zdarzeń itp. W najbliższym czasie Polskie Radio uruchomi w Warszawie doświadczalną stację telewizyjną i zainstaluje w stolicy kilkadziesiąt punktów odbiorczych dla kontroli tej stacji. Natomiast w ostatnich latach Planu 6-letniego zostanie uruchomiona w Warszawie stała, nowoczesna stacja telewizyjna z kompleksem studiów.

Jednocześnie opracowany będzie prototyp polskiego telewizora, który będzie produkowany seryjnie w kraju. Przy sprzyjających warunkach produkcji cena odbiornika powinna wynosić ok. 2—3 tys. złotych. Stosunkowo wysoką cenę telewizora tłumaczy między innymi duża ilość lamp wynosząca 19 — 27 sztuk.

Do czasu umasowienia naszej telewizji, problem stosunkowo wysokiego kosztu telewizora rozwiążą kina telewizyjne.

ZASTOSOWANIE PRAKTYCZNE

Zastosowanie telewizji nie ogranicza się bynajmniej do rozrywki. Żaden bowiem nowoczesny wynalazek nie znajduje tak wszechstronnego zastosowania jak właśnie telewizja; zwłaszcza w nauce, technice i przemyśle.

I tak, przy pomocy telewizji można dokonywać obserwacji zjawisk w przyrodzie, tam, gdzie obecność człowieka jest niemożliwa lub niepożądana, np. przy badaniu fauny i flory podmorskiej. Odbija się to w ten sposób, że specjalnie skonstruowaną kamerę z reflektorami opuszcza się w głąb morza i ta przekazuje nam na powierzchnię obraz. Telewizja pomaga również człowiekowi przy wydobywaniu wraków statków, gdyż pozwala na ustalenie miejsca zatopionego obiektu i ułatwia pracę nurkom, którzy mają ograniczone możliwości widzenia i poruszania się pod wodą. Ważne zastosowanie znajduje telewizja przy badaniu górnych warstw atmosfery. Mianowicie kamerę telewizyjną umieszcza się w balonie lub w samolocie, skąd przekazuje nam ona wskazania przyrządów pomiarowych. Duże zastosowanie znajduje telewizja w szkolnictwie.

Telewizja umożliwia również dokonywanie kontroli procesów produkcyjnych, których ze względu na ich szkodliwość nie można obserwować bezpośrednio, np. wytopów stali w hucie. Ostatnio stosowano telewizję również w bibliotekach. Zastosowanie to polega na tym, że zamiast wypożyczać cenne dzieła czytelnikom dokonuje się przy pomocy kamery telewizyjnej projekcji odpowiednich ustępów na powiększony ekran, skąd czytelnik przepisuje je. Zapobiega się w ten sposób niszczeniu cenniejszych książek.

Zastosowanie telewizji w filmie jako czynnika kontrolnego przyczyni się do szeregu ułatwień produkcyjnych i obniżki kosztów.

Oto ogólny tylko przegląd możliwości zastosowań telewizji. Jest ich znacznie więcej. Toteż racjonalna eksploatacja tego wspaniałego wynalazku, przyniesie nam nie tylko interesującą rozrywkę ale i wiele pożytku.

ZBIGNIEW K. ROGOWSKI

Aktorzy wraz z fachowcami telewizyjnymi oglądają program na pol-



Adolf Dymśa na ekranie 441-liniowego odbiornika telewizyjnego polskiej konstrukcji. Jest on pierwszym aktorem polskim, który produkuje się w programie telewizyjnym.



W czasie przerwy w występach w programie telewizyjnym, aktorzy przeglądają nasz tygodnik „Świat”.



Ta sama scena na odbiorniku telewizora

skim telewizorze, przystosowanym do odbierania obrazu 625-liniowego.



CO DZIECI CZYTAJĄ W ŚWIĘTA

HUCZY wiatr, deszcz bije o szyby, szara mgła spowija ulice miasta. Skończyły się harce i zabawy w parkach, dzieci siedzą więc w domu spędzając czas nad książką, która wprowadza je w barwny świat wyobraźni.

Stowarzyszenie Książkowych Moli (SKM) pragnie dzisiaj zwrócić Waszą uwagę na kilka wydawnictw dziecięcych, których nieprzemijająca wartość literacka znalazła odpowiednik w pięknej szacie graficznej. Dzieci polskie nigdy przedtem nie zetknęły się z mądrością narodów Zw. Radzieckiego, zawartą w odwiecznej baśni ludowej; dopiero Polska Ludowa otworzyła przed nimi ten prawdziwy skarbiec, mieniący się wszystkimi blaskami twórczej wyobraźni ludu. **Baśnie Narodów Związku Radzieckiego** (Wanda Markowska i Anna Milska, Książka i Wiedza — ilustr. A. Uniechowski) osnute na prastarych wątkach ludowych rosyjskich, ukraińskich, gruzińskich, tatarskich i wielu innych — w rozmaitej formie wyrażają wszędzie tę samą ludzką treść: marzenie o wolności i tęsknotę do szczęścia.

Postępowa myśl racjonalistyczna polskiego Oświecenia skrytykowała się w „Bajkach Ignacego Krasickiego” (Książka i Wiedza, ilustr. J. M. Szancer). Nie zesterzał się ich sens społeczny, patyna dawności nie umniejszała w niczym piękna i jasności tej wspaniałej polszczyzny.

„Bajki” Mickiewicza (Nasza Księgarnia, ilustr. L. Maciąg) tak głęboko już wrosły w język i świadomość narodu, że niejeden urywek z nich stał się popularnym przysłowiem. Czy wiecie, że przysłowie: „Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie” — to zakończenie bajki p. t. „Przyjaciele”? A „nie masz na upór lekarstwa” — to wyjątek z bajki „Gołono — strzyżono”? Bajki Mickiewicza winny się znaleźć w każdym polskim domu, szczególnie zaś tam, gdzie są dzieci.

„Bajka o śpiącej królewnie i siedmiu junakach” Aleksandra Puszkina (Nasza Księgarnia, przekład W. Grodzieńska, ilustr. E. Bartłomiejczyk) jest jedną z niezliczonych wersji marzenia ludzkości o zwycięstwie dobrego nad złem. Nie dziw więc, że przykuła wyobraźnię największego poety rosyjskiego.

Lecz oto i słynne „Baśnie” J. Ch. Andersena; (Książka i Wiedza, przekład K. Beylin, ilustr. J. M. Szancer). Pamiętacie „Dziewczynkę z zapalkami”, „Brzydkie Kaczuszkę”, „Nowe szaty cesarza”? Pamiętacie — więc przeczytajcie je swoim dzieciom. Wraz z innymi baśniami wielkiego Duńczyka, zawartymi w tej książce. Kryje się w nich mądrość uskrzydłona fantazją, głęboki sens społeczny i żarliwy protest przeciwko każdej krzywdzie. „Baśnie” Andersena są jedną z tych książek-przyjaciół, które towarzyszą wiernie człowiekowi od dzieciństwa do późnej starości.

Kilka prześlicznych wierszy dla dzieci Juliana Tuwima znajdujemy

w tomiku pt. „Zosia-Samosia” (Czytelnik, ilustr. Ha-Ga). Uparta, także już przysłowiowa Zosia - Samosia, muzykalny pan Tralaliński i uroczy figlarz „Spóźniony słowik” — zdołają z pewnością serca waszych dzieci.

Nowy rodzaj współczesnej bajki dydaktycznej stworzył poeta radziecki S. Marszak. Jedną z nich pt. „Czym jest rok?” w doskonałym przekładzie, J. Minkiewicza, wyszła ostatnio nakładem „Naszej Księgarni”.

Stowarzyszenie Książkowych Moli zapewnia Was, że godziny, które dzieci wasze spędzą na lekturze bajek i baśni, nie będą stracone; wyobraźnia i marzenia są niezmiennie ważnym czynnikiem w procesie kształtowania się młodych umysłów i charakterów.

„...Muszę wyznać, że na mój rozwój intelektualny ogromny wpływ miały baśnie, które opowiadała mi moja babka i wiejscy bazarze...” — powiedział Maksym Gorki, genialny twórca realizmu socjalistycznego.

S. K. M.



„Zosia-Samosia” — ilustr. Ha-Ga.



Baśnie Narodów Związku Radzieckiego, ilustr. A. Uniechowski



Baśnie Andersena, ilustr. J. M. Szancer.



WOJCIECH BOGUSŁAWSKI
Sztuch Ligbera 1803 r.

Bogusławski

TWÓRCA NARODOWEGO TEATRU

sto nie może dostrzec wszystkich istotnych walorów sztuki, która powstała wraz z Insurekcją Kościuszkowską w 1794 r. i była zarzewiem zapalającym uniesienia patriotyczne. Umiała ona wyrazić, choć w aluzjach wskazać wroga, potępić krzywdy społeczne oraz ukazać zbiorowy zryw ludu we własnej obronie i w walce wyz-

ślowski na scenę autorów postępowych, realistycznych, idących z wielkim prądem Oświecenia, jak Wybicki, Niemcewicz, Zabłocki.

Piękne było i świadczące o zrozumieniu potrzeb ludu, jego marzenie o zbudowaniu specjalnego gmachu teatralnego dla ludności podmiejskiej Warszawy. Projektował oto Bogu-

wanych klas, którzy kręcili nosem na jego aktorów, entuzjazmując się snobistycznie tylko obcym teatrem najeżdżającym i eksploatującym stolicę.

Dla niezamożnego publikum, dla prostych widzów — uważał Bogusławski — konieczny jest osobny teatr, wygodny, obszerny budynek, który by był ich teatrem. Ten

NAPISANEM było w księdze przeznaczonych, że nigdy los ojczyzny sceny trwałym nie będzie — tak biadał Wojciech Bogusławski*), opisując w swych „Dziejach Teatru Narodowego” ciężkie, a nawet często okrutne doświadczenia młodej sceny polskiej.

Od dwudziestego pierwszego roku życia związany z losem polskiego teatru, kierował tą kruchą wówczas nawa, wśród zdradliwych skał i odmetów.

Wierny swym ideałom, nieugięty, wytrwały a zahartowany w długiej walce o byt sceny narodowej, której doniosłe znaczenie doskonale pojmował, mógł jednak spokojnie zamknąć oczy umierając w 1829 roku w chwili, gdy już gotowało się podziemie powstania listopadowego, a byt sceny narodowej był już ustabilizowany.

„Arcyrewolucjonista i niebezpiecznym człowiekiem” nazwały Bogusławskiego raporty pruskie w 1801 roku. Szczery demokrat, z zasobem rzetelnej wiedzy zebranej w postępowym kolegium ks. Konarskiego, wszedł na deski sceniczne polskiego teatru w krytycznym momencie, aby ofiarne wziąć na swe barki obowiązki wielorakie: aktora, autora dramatycznego i tłumacza, reżysera i dyrektora. Szczupłe grono „komedian-tów” z którymi pracował: Świerżawski, Hempiński, Owiński. Sikorska, Sierakowska, Gronowiczowa. Truskolascy niewiele go wyprzedzać mogło techniką gry czy doświadczeniem scenicznym. Górował nad nimi nie tylko inteligencją, ale i zrozumieniem idei istnienia polskiej sceny opartej na masowym widzu, którego dopiero trzeba było wprowadzić do teatru.

I czy to wielkie, masowe widowiska jego pióra, dawane w lwowskim amfiteatrze, przez niego zbudowanym, czy też jego projekty utworzenia „Teatru Ludu” w Warszawie, wreszcie charakter i tendencje w utworach własnych, jak „Krakowiacy i Górale”, jak „Henryk VI na łowach”, mówią nam wyraźnie, że ściśle współpracuje on z postępowymi ludźmi wieku Oświecenia, że gorące serce patrioty bije w piersi tego wielkiego syna ziemi poznańskiej. Zapał i nieustępliwość każą mu w pionierskich wędrówkach z teatrem kroczyć po całym obszarze ówczesnej Polski.

Utrwali i wywalczy z trudem na terenie Prus ciągłość polskich corocznych widowisk. Troska zaś o przyszłość teatru i doskonałość aktorów dyktowała mu założenie Szkoły Dramatycznej i danie jej pierwszych podręczników. On też pierwszy ukazał na polskiej scenie Szekspira („Hamlet”, „Romeo i Julia”).

W ogromnym dramatycznym dorobku Bogusławskiego tętni w większości dzieł nuta postępowego patriotyzmu, choć pozornie ukryta, ze względu na śledcze oko cenzora, lecz jednak zawsze wyraźna i chwytana przez czujną narodowo widownię.

Dzisiejszy widz, chłonący wspaniałe piękno „Krakowiaków i Górali”, czę-



SCENA Z „KRAKOWIAKÓW I GÓRALI” W WARSZAWIE, WEDŁUG AKWARELI LOHRMANA Z 1794 ROKU.
(W. Bogusławski, w środku, w roli studenta Bardosa)

wolenczej. Wciąż odświeżane piosenki, aktualizowane kuplety, wywoływały przez wiele lat entuzjazm na widowni, a aktorów-wykonawców, nie raz wiodły do kozy!

W swym wcześniejszym utworze „Henryk VI na łowach” umiał Bogusławski chytrze przemycić ostrze oskarżenia występnej polskiej magnaterii, strojąc ją dla niepoznaki w angielskie kostiumy i przesuwając akcję w odległą epokę. Lud wypowiada tu śmiało cierpkie i ostre zarzuty, domaga się obrony swych praw wolnego obywatela i obrony swej godności.

Wprowadza równocześnie Bogu-

śławski wzniesienie osobnych scen: dla opery, dla dramatu i komedii, oraz trzeciej, na której mu najbardziej zależało — teatru dla ludu. Miał stanąć ten teatr tam, gdzie dziś wznosi się gmach Muzeum Narodowego.

Obserwował dobrze Bogusławski podczas przedstawień te rozpalone gorączkową ciekawością oczy widzów siedzących wysoko pod sufitem na paradyżie, mieszkańców przedmieść, wyrobników, rzemieślników, szwaczek i służby, tych wiernych polskiej scenie gości, miłszych mu stokroć od przedstawicieli uprzywilejo-

specjalny, tani teatr, byłby szkołą nowego widza wychowanego tu na odpowiednim ludowym repertuarze.

Nie danym było Bogusławskiemu zrealizowanie śmiałych, postępowych wówczas planów.

Na cmentarzu powązkowskim, na płycie wmurowanej w ścianę kaplicy, w pobliżu zapomnianej i nieznanej jego mogiły, wykuto wymowny napis:

„Krzywdzące głos ojczyzny mniewania umorzył,
Pisał, grał, i grających na czas późny stworzył”.

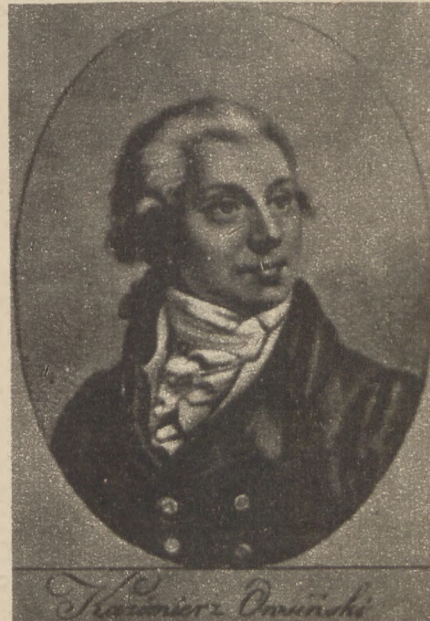
STANISŁAW DĄBROWSKI



Karol Borom Swierżawski



Barbara Sierakowska



Stanisław Dąbrowski

*) W. Bogusławski urodził się w Glinnem pod Poznaniem 9. IV. 1757 r., z ojca Leopolda, rejenta ziemskiego i matki Anny z Linowskich, zmarł w Warszawie na Nowolipkach 23. VII. 1829 r.

NIEUDANY START DO NOWYCH OBOZÓW ŚMIERCI

ZDRAJCY NARODU PRZED SĄDEM

KOPERTA adresowana „do Pana S” odbywała długą drogę. Oskarżony Pajor umieszczał w niej wykazy nazwisk działaczy niepodległościowego ruchu lewicowego. Wykazy szły do Gestapo. „Panem S” był Hauptsturmfuehrer SS, Spielker.

„Firma Transwar poszukuje inkasenta” — informował przed ośmiu laty oskarżony Nienaltowski oskarżonego Czystowskiego. W kilka tygodni później WRN-owski terrorysta Czystowski wychodził z firmy Transwar jako sekretarz zbrodniczej organizacji „Start”.

Kobiety, które patrzyły z uwagą na ławę oskarżonych, nie przyszły tu ze zwykłej ciekawości. Aleksandra Plucińska straciła brata. Po ośmiu latach może się dowiedzieć, że w wykazie nazwisk, które otrzymał „Pan S” było również nazwisko Michała Plucińskiego, żołnierza Batalionów Chłopskich. Listę sporządził agent „Startu” — Ejme, kierownik placówki Warszawa-Północ. Gestapo aresztowało Plucińskiego 2 lutego 1944 roku.

Po ośmiu latach dowiaduje się starszka Anna Szkot dlaczego w lipcu



Po ośmiu latach dowiedziała się Anna Szkot, kto zamordował jej syna.

1943 roku wyszedł z domu i więcej nie powrócił jej syn — Jerzy Szkot, robotnik fabryki „Schichta”.

Genowefa Jabłońska jest córką weterana bojów proletariackich. Był od roku 1918 w KPP, od roku 1942 w PPR. Miał 73 lata, lecz nie ustawał w pracy i walce. Aleksander Maliszewski — ojciec Genowefy Jabłońskiej — dwukrotnie figurował na listach przekazywanych przez „Start” hitlerowskim okupantom. Aresztowany 18 maja 1943 roku, w kilka dni później zakończył życie w katowniach Gestapo.

„POLSKI HIMMLER — POLSKIE SS”

Było to w okresie, w którym pod uderzeniami Armii Radzieckiej kruszyło się hitlerowskie więzienie narodów, a słowo „Stalingrad” stanowiło dla milionów ludzi symbol nadziei. Naród polski wznosił walkę przeciw hitlerowskiemu okupantom.

Ale delegatura rządu londyńskiego i grupujące się wokół niej reakcyjne organizacje od NSZ do WRN miały innego wroga. Instrukcje z nadrzędnych ośrodków anglo - amerykańskich nie pozostawiały wątpliwości. Sławetna „teoria dwóch wrogów” oznaczała w praktyce czynną kolaborację z okupantem hitlerowskim. Dla delegatury istniał tylko jeden wróg: klasa robotnicza i czołowy jej oddział — PPR.

Dlatego właśnie delegatura utworzyła „Państwowy Korpus Bezpieczeństwa”. Organem PKB był t.zw. Urząd Śledczy. Ekspozytura Urzędu Śledczego w Warszawie — t.zw. E.U.S., kryptonim „Start” — powołana była do walki z niepodległościowym ruchem lewicowym.

Londyn startował do faszystowskiej Polski. Miała ona być kolonią Waszyngtonu, miała być bazą wypadową przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Londyn postanowił zachować w wojennej Polsce hitlerowskie obozy śmierci. Więźniami mieli być uczestnicy walk o niepodległą Polskę Ludową.

„Urząd Śledczy”, którego naczelnikiem był stary „dwójkarz” Lechowicz, przygotowywał ewidencję „osób podejrzanych”. W czasie zeznań świadka Kraka — przedstawiciela t.zw. Kierownictwa Walki Podziemnej na Warszawę — odczytano instrukcję dla nowej, londyńskiej obsługi Majdanka, Oświęcimia i Treblinki. Instrukcja ta zachwalała m. in. jako „najlepsze metody” — „bicie i pozbawienie życia”.

Oto metody opracowane przez ośrodek „Startu”. Niedarmo Lechowicz nazywał Kraka „polskim Himmlerem”, a Urząd Śledczy delegatury z lubością używał jako kryptonimów liter SS.

WCZORAJ I DZISIAJ

Zeznania oskarżonych, pytania trybunału, prokuratora i obrońców, wypowiedzi świadków, spinają logiczną kłamrę przeszłości i teraźniejszości.

Wtedy, w owe noce, w których do drzwi łomotały kolby Gestapo — instrukcje z anglosaskich ośrodków wywiadowczych kazały agentom rządu londyńskiego w Polsce współpracować z okupantem i walczyć przeciw obozowi demokracji.

Dzisiaj ci sami ludzie, inspirowani przez te same ośrodki, gotowi są całować każdą imperialistyczną pięść wymierzoną przeciw Ludowej Polsce.

Korboński jest dzisiaj na emigracji jednym z prowodyrów zaprzeczanych interesom Waszyngtonu. Był nim również i wtedy, kiedy jako agent Mikołajczyka przewodził t.zw. Kierownictwu Walki Podziemnej (K.W.P.), któremu londyńska delegatura zleciła hamowanie wznagającej się walki wyzwoleniczej narodu.

Zaremba jest dzisiaj dolarowym stypendystą zawodowych rozbijaczy ruchu robotniczego i pupilem antypolskich agentur zza oceanu. Był nim również wtedy, gdy stał na czele tego samego WRN, którego wychowankowie — tacy jak Czystowski — przeszli od lektury pism socjaldemokratycznych kolaboracjonistów de Mana do mordowania żołnierzy walczącej Polski, członków PPR, Gwardii Ludowej i Armii Ludowej.

Bór - Komorowski, który przebywa obecnie w USA — wtedy, w owe mroczne i pamiętne lata, zajęty był przede wszystkim zwalczaniem obozu demokracji polskiej.

Taka właśnie działalność kryła się za okragłym zwrotem o „przewidywającej polityce społecznej” w rozkazie Bora - Komorowskiego nakazującym utworzenie t.zw. PKB („Państwowy Korpus Bezpieczeństwa”). „Przewidywająca polityka” Borów - Komorowskich to był właśnie — „Start”.

LONDYŃSKA INSTRUKCJA

W sali warszawskiego Sądu Wojewódzkiego faszystowski mordercy odpowiadają za swe zbrodnie.

Zeznaje kierownik „Startu”, Pajor, wytrwały przedwojenny „dwójkarz”, podwładny Lechowicza z „Samodzielnego Referatu Informacyjnego” przy DOK-1. Starzy znajomi, i to jeszcze tacy znajomi, odnajdają się w korcu maku. W r. 1943 Lechowicz poleca Pajorowi, jako swemu zastępcy w „Urzędzie Śledczym”, zorganizować „Start”. Plan działalności ustalają Lechowicz i Kontrym. Obaj wiedzą, czego się trzymać. To, co Lechowicz wyniósł z rozmów z przedstawicielami angielskiej służby wywiadowczej w Kownie, to samo przywiózł później z wysp brytyjskich Kontrym. Ten komisarz policji z Białegostoku znalazł się podczas wojny we Francji a później w Anglii. Stamtąd, po odpowiednim przeszkoleniu, zrzucono go do Polski z zadaniem, które brzmiało: zorganizować specjalny oddział do walki z ruchem lewicowym, zorganizować sieć wywiadowczą na terenie ZSRR.

Jak ludzie z Londynu realizowali tę instrukcję, mówią zeznania Pajora i WRN-owca Czystowskiego, zeznania białostockiego prokuratora, NSZ-towca Ojrzynskiego i „dwójkarza” Nienaltowskiego, też dawnego współpracownika Lechowicza, przedwojennego konfidenta „dwójki” i powojennego protegowanego Mariana Spychalskiego.

Padają nazwiska zamordowanych, padają daty. Padają nazwy ulic:

Twarda 15...

Jesienią 1943 r. odbywało się tam pierwsze zebranie „Startu”. Jest na nim Kontrym, jest Lechowicz, są również: Pajor, jego pierwszy zastępca — Ojrzynski i drugi zastępca — Nienaltowski.

Marszałkowska 142...

Następne zebranie organizacyjne: Kontrym, Pajor, Nienaltowski, Ojrzynski.

Znowu Twarda 15...

Odbywa się mianowanie kierowników czterech dzielnicowych placówek „Startu”. Warszawę - Śródmieście obejmuje Julian Czerwiakowski. Do „Startu” przyszedł wraz z całą komórką wywiadowczą NSZ. Placówkę Warszawa - Praga obejmuje członek kontrwywiadu AK — Jedliński. Później do zbrodniczych komórek likwidacyjnych sprowadzi swych WRN-owskich kamratów sekretarz „Startu”. Czystowski.

Ulica Piłsudskiego...

Doberowe towarzystwo w komplecie: Kontrym, Lechowicz, Pajor, Hauptsturmfuehrer SS Spielker. „Pan S” otrzymywać będzie stałą korespondencję od Pajora i Lechowicza. Gmach B. G. K....

Cztery okresowe spotkania Pajor — Spielker. Kierownik „Startu” informuje i denuncjuje.

Ulica Nowiniarska...

Na specjalnej odprawie kierownictwo „Startu” stawia wniosek o „uproszczenie postępowania karnego”.

Jest r. 1944. Wzrasta nasilenie antynarodowej dywersji, prowadzonej przez zdradzieckie klikli reakcji. Przedtem zbrodnicze „wnioski” „Startu” oparte na fikcyjnych „dochodzeniach”, wędrowały do jeszcze jednego SS (tzw. Sądu Specjalnego), który wydawał „wyroki”, wykonywany przez zbirów Kontryma. Odtąd Pajor będzie miał prawo sam podpisywać „wyroki”, a „Start” organizuje własne „komórki likwidacyjne”. Kieruje nimi Nienaltowski. „Rozpracowania” i „wnioski” przygotowuje Ojrzynski. Na Pradze, Żoliborzu i Pelczynie padają skrytobójcze strzały. Jednocześnie do Gestapo wędrują coraz dłuższe listy nazwisk.

Dla Pajora jest to rzecz naturalna.

„Jeszcze przed wrześniem w dwójce śmiano się z wojny z Niemcami — oświadcza przed sądem. — Wojna miała być przeciwko ZSRR”.



Sala sądowa w czasie zeznań oskarżonego Pajora — przed wojną pracownika sanacyjnej „dwójki”, w okresie okupacji — zbrodniczego kierownika „Startu”.

Nauka nie poszła w las. W czasie okupacji „dwójkarz” Lechowicz i zorganizowany przezeń „Start”, systematycznie przekazują Spielkerowi informacje i wykazy ludzi „do zlikwidowania”.

„Ale to już — dodaje Pajor — to już była sprawa inspiracji z Londynu”. Tej inspiracji, o której mówił później osk. Nienaltowski, stwierdzając, że „współpraca z okupantem była jedną z form „likwidacji”.

ICH „ROBOTA”

Wokół delegatury i jej ekspozytur skupiło się to wszystko, co stanowiło antynarodowy front rodzimej reakcji, i dyszało nienawiścią do polskiego ludu: „dwójkarze” i NSZ-owcy, bojówkarze z WRN-u, zawodowi mordercy i gangsterzy, agenci Gestapo i anglosaskich wywiadów — cały obóz zaprzaństwa i zdrady; ten sam, który zamierza dziś znowu — tym razem u boku Spielkerów z asysty Adenauera a z łaski Wall Street — uczestniczyć w przygotowywaniu nowego „Drang nach Osten”.

Siepacze Pajora, Ojrzynskiego, Nienaltowskiego i Czystowskiego mordowali, żeby zapobiec przechodzeniu AK-owców do AL-u, mordowali, żeby ułatwić reakcji sięgnięcie po władzę, denuncjowali do Gestapo, gdyż, jak oświadczył Lechowicz kierownictwu „Startu”, „sami byli za słabi, by dać sobie z komunistami radę”.

Bojąc się opinii społeczeństwa, zbiry starały się maskować własne zbrodnie. Ich gadzinówki, podobnie jak czyniły to oficjalne hitlerowskie szmatławce, przedstawiały mordowanych działaczy walczącej Polski jako „bandytów”.

Kierownicy „Startu” wiedzieli, co robią i znali swój łajdacki zawód. Ich bezpośredni zwierzchnik Lechowicz mógł mieć do nich pełne zaufanie. Z „dwójki” przyszedł Pajor. Stamtąd przyszedł też prowokator Nienaltowski, który w okresie wojny przeniknął do Gwardii Ludowej, działając w kręgu najbliższych współpracowników Mariana Spychalskiego. Przełożeni Nienaltowskiego przenieśli go jesienią 1943 r. do „Startu”, ale zaraz po wojnie ten kierownik bandyckich „komórek likwidacyjnych” znalazł się — z polecenia Spychalskiego — w odrodzonym Wojsku Polskim i awansował w ciągu jednego roku z porucznika na podpułkownika. Ojrzynski przyszedł do „Startu” z białostockiej prokuratury „do spraw politycznych” i z NSZ-owskiego wywiadu. Czystowski, wreszcie, przyszedł przez WRN wraz z całą terrorystyczną grupą.

Wszyscy ci ludzie, działając w myśl wskazań delegatury, świadomie umacniali aparat hitlerowskiego terroru, mordowali działaczy niepodległościowych, denuncjowali do Gestapo, morderstwem i dywersją starali się osłabić ruch wyzwoleniczy kierowany przez Polską Partię Robotniczą i Krajową Radę Narodową. W całej ich działalności, dyrektywy anglosaskich ośrodków dyspozycyjnych oznaczały współpracę z hitlerowskim okupantem, zdradę i zbrodnie.

„Start” denuncjował i mordował. Ale na bojowe stanowiska zamordowanych stawiali ich towarzysze. Za krótkie były zbrodnicze ręce londyńskich zdrajców. Na straży ojczyzny spraw stały i stoją milionowe rzesze polskiego ludu.

A. MIĘDZYRZECKI

KARIERA MORDERCY

Podczas obchodu rocznicy Rewolucji Październikowej zamordowany został w Berlinie

na sumieniu liczne morderstwa i gwałty. Niemniej — uszy mu one bezkarnie, a ostatnio



OPIARA

bezpartyjny robotnik, Ernst Kamieth. Morderstwa dokonał Herman Zunker, inspektor policji zachodnioberlińskiej, zwanej od nazwiska swego komendanta „hordami Stumma”.



MORDERCA

Herman Zunker jest zbrodniarzem wojennym, ściganym za prze-

znalazł się w szeregach policji zachodnioberlińskiej, gdzie nadal uprawia swój proceder.

Jak to się stało? Bardzo prosto. Oto pismo „Office of Military Government — Berlin Sector” (Amerykański Zarząd Wojskowy — Sektor Berliński), podpisane przez Charles C. Bonda, szefa wydziału policji, skierowane do Komendy Schutzpolizei Berlina zachodniego, polecające zatrudnić natychmiast Inspektora Hermana Zunkera „z zachowaniem jego poprzedniej szarzy”.

Tak Amerykanie forsują na stanowiska w administracji zachodniemieckiej notorycznych hitlerowców i bandytów. Kariera Zunkera jest zapewniona. Przejdzie on z kolei do nowego „Wehrmacht”, ja-

dego Amerykanina spod znaku Ku Klux Klanu: „SEGREGACJA RASOWA JEST BEZWZGLĘDNA — CZARNI NIE MAJĄ NIC PRZECIWKO TEMU”.

A oto, jak sprawy wyglądają w oświeceniu amerykańskiego dziennika:

„W Kongo belgijskim panuje ścisły i bezwzględny podział rasowy. Ale nie stanowi to żadnego problemu. Bo nikt spośród czarnych mieszkańców tego kraju nie potrafi sobie wyobrazić, że może być inaczej.

„W każdym mieście jest osobna dzielnica białych i osobna dzielnica czarnych. Jest rzeczą nie do pomyślenia, by czarny ośmielił się przekroczyć próg hotelu, restauracji lub domu dla białych, chyba że jest służącym.

„Ale tubylcy nie skarżą się. Według międzynarodowej opinii dobrze poinformowanych Amerykanów, znających miejscowe stosunki, olbrzymia większość tubylców jest szczęśliwa, że tak się sprawy układają”.



GUBERNATOR de THIBAUT

MILIONY CZARNYCH ŻYJA W KOLONIALNYM JARZMIE.

Ach — wzdycha autor artykułu — jakże pięknie się żyje w Kongo! A wszystko dzięki temu, że „Murzyn tutejszy jest zupełnie niepodobny do Murzyna amerykańskiego”.

Właśnie! Murzyni w Ameryce są uparci i walczą o swe prawa. Wszystko przez tę przeklętą naukę i politykę. W Kongo zupełnie inaczej:

„Nie ma tu oświeconych i wykształconych Murzynów. Żaden mieszkaniec Konga nie posiada wykształcenia w europejskim tego słowa znaczeniu. Nie ma tu żadnej politycznej organizacji, złożonej z tubylców.

„Nie ma też ani jednej gazety w języku tubyl-

ców. Tylko raz dziennie miejscowe radio nadaje audycję dla krajowców, która transmitowana jest przez głośniki, umieszczone w dzielnicach murzyńskich. Filmy dla Murzynów są starannie dobierane i odpowiednio preparowane”.

Jak widać, władze kolonialne dbają, by nic nie przeniknęło do głów czarnych. Są tak troskliwe, że trzymają z dala nawet... misjonarzy protestanckich. A nuż któryś z nich otworzy Biblię i przeczyta Murzynom przykazanie o miłości bliźniego... Strach pomyśleć. Więc — jak pisze „New York Herald Tribune”:

„Przebywali tu niegdyś misjonarze protestanccy, ale zostali wydalen, gdyż rząd jest zdania, że pobyt ich miałby szkodliwy wpływ na tubylców”.



Gubernator generalny Konga, de Thibault, ma na te sprawy bardzo stanowcze poglądy. Oświadczył on korespondentowi „New York Herald Tribune”, że „współżycie białych i czarnych robotników jest w najwyższym stopniu nie wskazane”, że „wysyłanie czarnych mieszkańców Konga na studia do Europy jest bardzo niebezpieczne”, ponieważ tam „wystawieni są oni na oddziaływanie różnych doktryn politycznych i ekonomicznych”.

Ale nie martwcie się, pan gubernator jest pełen najlepszej woli i twierdzi, że „najwyżej w ciągu stu lat tubylcy uzyskają autonomię”.

Gotowi jesteście zrobić z panem gubernatorem mały zakład (stawiamy dolary przeciwko orzechom afrykańskim), że przewidziany przez niego termin ulegnie niejakie- mu skróceniu. I że nie skończy się na żadnej „autonomii”...

RYCERZ PODWIĄZKI

Kampanię wyborczą w Stanach Zjednoczonych zapoczątkował kandydat partii republikańskiej, senator Robert Taft. Mr. Taft pragnie zastąpić Trumana i uważa, że będzie daleko lepszym odeń prezydentem.

Za jeden z najskuteczniejszych środków propagandy pan Taft uważa specjalny rodzaj podwiązek, ozdobionych jego miniaturowym portretem i hasłem: „Taft na prezydenta!” Model takich podwiązek demonstruje na zdjęciu jedna z agitatorek Tafta. Kogo pragnie pan Taft zjednać tym argumentem dla

swej kandydatury — pozostawiamy domysłom czytelników.



Keystone

DAREMNY OPÓR PUSTYNI

Dołączono ze str. 9

na pustynię Kara Kum. Kanał Turkmeński będzie nioś na bezwodne piaski do 600 ton wody na sekundę. Policzcie, ile milionów wagonów-cystern rocz- nie...

W KAŻDYM JARZE — SIEDZI KOZAK

Przeszło trzysta lat temu Kozacy zaporoscy straszili sułtana tureckiego, donosząc mu, że „w każdym jarze siedzi Kozak”. Parafrazując to powiedzenie dzielnych Zaporozców, można by dziś stwierdzić, że w pustyni Kara Kum „w każdej kotłince siedzi geolog”.

Prace związane z budową Kanału Turkmeńskiego obejmują teren długości 1500 kilometrów. Oczywiście można je przygotowywać odcinkami. Ale na to nie ma czasu: jeśli Kanał ma być gotowy na rok 1957, ofensywa na pustynię musi ruszyć na całej długości frontu. I w roku bieżącym prace badawcze i przygotowawcze prowadzone są na całej ogromnej trasie od delty Amu-Darii do Krasnowodzka.

Trudno wyliczyć jednym tchem instytucje naukowe i uczelnie, których przedstawiciele biorą udział w pracach badawczych w Turkmenii: Akademia Nauk ZSRR, Akademia Nauk Uzbekistanu, Gruzji, Armenii i Kazachstanu, Uniwersytet Moskiewski, Leningradzki, Środkowo-Azjatycki Uniwersytet w Taszkencie, Uniwersytet w Aszchabadzie, Akademia Architektury ZSRR, Gruzjiński Instytut Hydrotechniczno-Melioracyjny, przedsiębiorstwo „Hydroprojekt”, Ministerstwo Geologii, Instytut Uprawy Roślin i wiele, wiele innych.

Trasa Kanału przejdzie przez mało znane, bezludne obszary pustyni. Tereny te trzeba dokładnie zbadać, by uniknąć kłopotów i trudności w czasie samej budowy.

NA PUSTYNI ZABRAKŁO... PIASKU

A że trudności bywają czasem zgola nieoczekiwane — świadczyć może poniższy fakt.

Obliczono, że dla zbudowania zapór, kanału, śluz i urządzeń irygacyjnych trzeba będzie zużyć około dwóch i pół miliona metrów sześć. betonu. Na ogół na większych budowach zakłada się, że jeden ze składników betonu — piasek — znajdzie się zawsze na miejscu. Tymczasem budowniczy hydrowęzła Tachia-Tasz z przerażeniem stwierdzili, że na pustyni nie ma zwykłego piasku budowlanego. Wydmny Kara Kum składają się z piasku bardzo drobnoziarnistego i pyłu, który nie nadaje się do użycia w budownictwie.

Co robić? Przywozić na pustynię tysiące ton piasku? Nonsens! Ale należy znaleźć wyjście z tej osobliwej sytuacji...

Wyjścia zaczęto szukać dwiema drogami. Geologowie i robotnicy budowlani rozpoczęli w okolicy poszukiwania zwykłego, „klasycznego” piasku. Równocześnie instytucje naukowe badały możliwości zastosowania w budownictwie miejscowego piasku drobnoziarnistego.

Pierwsi zamełdowali o sukcesie geologowie. Znaleźli oni w rejonie masywu górskiego Sultan-Uiz-Dag i nieco dalej, w miejscowości Kara-Tau, zapasy „prawdziwego” piasku. Przy okazji odkryli oni w tej samej okolicy bogate złoża wapieni, gipsu, gliny, porfiryty, a nawet surowców do wyrobu cementu. U stóp Sultan-Uiz-Dag buduje się już drogę do przyszłej cementowni...

Wkrótce potem nadeszły pomyślne wieści z laboratoriów naukowych. Grupa młodych uczonych — Kazachów, pod kierownictwem Iwana Szezebykina opracowała metodę otrzymywania betonu z miążkiego piasku wydm pustyni, z minimalnym dodatkiem cementu. Metoda ta da tysiące rubli oszczędności.

Nie minął tydzień — i nowa wiadomość. Tym razem z Instytutu Materiałów Budowlanych przy Akademii Architektury ZSRR. Profesor Wołżeński donosił, że w jego laboratorium wynaleziono nowy materiał do tynkowania, t.zw. „pianosilikat”, który otrzymuje się z wapna i... miążkiego piasku pustynnego. I już przystępuje się do budowy fabryki „pianosilikatu” na terenie Kanału.

377 RAZY „SZALMAN”

Z pomocą uczonych budowniczy Kanału Turkmeńskiego pokonują wszystkie trudności, jakie im stwarza pustynia. Ale zdradliwe piaski Kara Kum nie chcą ustąpić — pustynia broni się przed zagładą.

Jednym z poważniejszych kłopotów ludzi Kanału jest sprawa transportu. W ciągu wieków istniał w Kara Kum jeden środek transportu: wielbłąd. W ostatnim ćwierćwieczu były już dwa: wielbłąd i samolot. Ostatnio ruszyły na szturm turkmeńskich piasków samochody.

Bezradna wobec „okrętów pustyni” i lotnictwa — pustynia zaciekle broni się przed samochodem. Reportażysta pisma „Ogoniok” opisuje następująco drogę ciężarówki przez piaski: samochód wiezie ze sobą trzymetrową deskę — zwaną tu „szalman”. Na odcinkach, gdzie koła grzezną w miążkim piasku, podkłada się pod tylne koło „szalman”. Wóz przejeżdża trzy metry — i znów musi się deskę przenieść. I tak trzeba było na jednym odcinku przenosić „szalman” 377 razy...

Ale budowniczowie ani myślą ustępować przed złośliwą Kara Kum. Pustynię przecinają w rejonie budowy coraz nowe drogi. Główny węzeł budowy — Tachia-Tasz — otrzymał niedawno połączenie kolejowe z miastami Kazachstanu. Projektuje się na trasie dalsze linie kolejowe. W służbę transportu wprężnięto Morze Kaspijskie, jezioro Aralskie i samą Amu-Darię. Dniem i nocą jadą, płyną i lecą na teren budowy maszyny, zbrojenia, drzewo, sprzęt budowlany, żywność, książki, radiodiodniaki...

Plan robót na rok 1951 został wypełniony już w połowie października. Na rok przyszły zaplanowano roboty sześciokrotnie większe, niż na rok bieżący. Daremny jest opór pustyni Kara Kum. Człowiek radziecki zmusi ją do służenia narodowi.

EDWARD KARŁOWICZ

LIST POLECAJACY

stępstwa popełnione za rządów hitlerowskich i podczas wojny. Ma on

ko oficer kadrowy. Będzie szkolił seryjnie przyszłych morderców.

SEN SREBRNY AMERYKAŃSKIEGO RASISTY

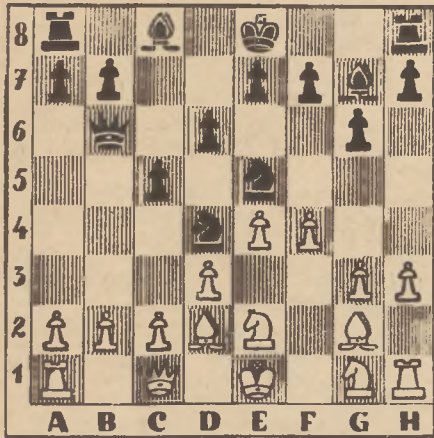
Chcecie się przekonać, jak wygląda marzenie rasisty amerykańskiego? Przeczytajcie poniższe wyjątki z artykułu, zamieszczonego w dodatku specjalnym „New York Herald Tribune”, poświęconym Kongo belgijskiemu. Opisuje on

stosunki w Kongo belgijskim, które, choć formalnie podlega Brukseli, rządzone jest faktycznie i eksploatowane (uran!) przez Waszyngton.

Już sam tytuł tego artykułu ucieszy serce każ-

SZACHY

PARTIA NR. 11



grana w IX rundzie tegorocznego czempionatu Związku Radzieckiego.

Obrona sycylijska

Białe: W. Smysłow Czarne: D. Bronsztajn

1. e2—e4 c7—c5 2. Sb1—c3 Sb8—c6 3. g2—g3 g7—g6 4. Gf1—g2 Gf8—g7 5. d2—d3 d7—d6 6. Gc1—e3 Sg8—h6

Dotychczas w pozycji tej grywano zazwyczaj 6... eb i 7... Sge7. Bronsztajn chce realizować inny plan strategiczny.

7. Hd1—c1 Sh6—g4 8. Ge3—d2 Sc6—d4.

Po 8... Gd4 nastąpiłoby 9. Sd1 z dalszym c3.

9. h2—h3 Sg4—e5 10. Sc3—e2 Hd8—b6 11. f2—f4!

DIAGRAM

Czarne zmuszone są oddać figurę za trzy piony, gdyż w przypadku odejścia skoczka e5 na c6 lub na d7 białe grając 12. c3 uzyskiwały znaczną przewagę w centrum.

11... Sd4:c2+! 12. Hc1:c2 Hb6:b2 13. Hc2:b2.

Można było 13. Wc1 i np. 13... H:c2 14. W:c2 s:d3+ 15. Kf1.

13... Se5:d3+ 14. Ke1—f1 Gg7:b2 15. Wa1—b1 Gc8—e6 16. Gd2—c3!

Posunięcie w tekście jest silniejsze niż 16. W:b2 s:b2 17. Gc3 i np. 17... Sc4 18. G:h8 f6. 16... Ge6:a2.

Ponieważ po 16... G:c3 17. S:c3. Czarne nie miały żadnych perspektyw, Bronsztajn decyduje się na jeszcze jedną ofiarę, w wyniku której uzyskuje wieżę i cztery piony przeciwko trzem lekkim figurom przeciwnika. Powstała pozycja jest niezwykle oryginalna. 17. Wb1:b2 Sd3:b2 18. Gc3:b2.

Oczywiście, że nie 18. G:h8 i po 18... f6 marsz czarnych pionów na skrzydle hetmańskim byłby bardzo groźny.

18... Wh8—g8 19. Kf1—f2 Ga2—c4 20. Sg1—f3 Gc4:e2 21. Kf2:e2 Ke8—d7 22. Wh1—d1 a7—a5 23. Sf3—e5+ Kd7—c7.

Niebezpieczne było 23... Ke6 ze względu na 24. f5.

24. Se5:f7 a5—a4 25. e4—e5 a4—a3 26. Gb2—a1 Wg8—e8 27. Sf7—g5 Wa8—a5 28. Sg5—e6+ Kc7—d7 29. Gg2—d5 a3—a2 30. g3—g4 We8—c8 31. Se6—g5 Wc8—f8.

Jak można się domyślać w tej części partii obaj arcymistrzowie odczuwali brak czasu do namysłu.

32. f4—f5 g6:f5 33. g4:f5 h7—h6 34. Gd5—e6+ Kd7—c7 35. e5:d6+ e7:d6 36. Sg5—e4 Wa5—a3 37. Se4:d6 Wa3:h3 38. Ga1—e5 Wf8—a8 39. Sd4—c4 i czarne poddały się wobec nieuchronnego mata.

ROZRYWKI UMYŚŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR. 17

KRZYŻÓWKA. Poziomo: amator, klatka, Macedonia, ren, Oran, tal, data, run, por, kok, E. D. (określenie tych liter winno brzmieć: inicjały pisarza szwajcarskiego, laureata nagrody Nobla), baryton, fa, Keres, los, remis, rober, Aza, runda, ty, akrobata, Oka, meta, ja, etat, Baku, sum, tuz, katarakta, Aragon, safian.

Pionowo: amarek, atleta, maruderzy, tur, acan, Rea, oaza, ten, Bem, akt, od, pasieka, k. o., rotor, ban, Narym, tomat, kil, bekas, la, koloratura, Don, buta, A. F., trak, Lena, ski, Ket, Ford, juta, ananas, ataman. (W znakowaniu wyrazów krzyżówki wkładło się kilka błędów, za co przepraszamy naszych Czytelników).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 17 nagrody książkowe otrzymują:

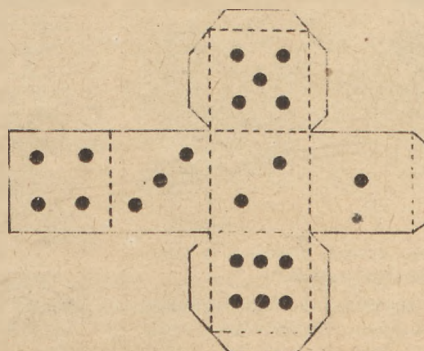
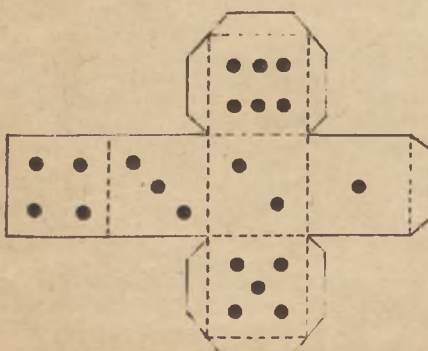
1) Janina Grabowska — Łódź, ul. Zeromskiego 80 m. 23, 2) Maria Jasńska — Radomsko, ul. Kościuszki 13, 3) Wiktoria Kochmańska — Lublin, ul. Skłodowskiej 26/9, 4) Roman Majewski — Warszawa 1, ul. Poznańska 11 m. 44, 5) Witold Nowicki — Radomsko, ul. Zaborkowska 4, 6) Franciszek Pietrzyk — Jaworzno, ul. Lipowa 7 pow. Chrzanów, 7) Stanisław Ruciński — Katowice, ul. Obłatów E-2 m. 13, 8) Józef Stefańczyk — Pabianice, ul. Sejmowa 4, 9) Marek Wędrzicha — Wałbrzych, ul. Zeromskiego 17 m. 3, 10) Czesław Zaborowski — Chelmża, ul. Kościuszki, blok I.



ZADANIE MATEMATYCZNE

Na miejsce poszczególnych liter znajdujących się na rysunku podstawić odpowiednie cyfry w ten sposób, aby powstało prawidłowo wykonane mnożenie. Należy wziąć pod uwagę, że jednakowym literom odpowiadać jednakowe cyfry.

PIONKI I KOSTKI DO LOTERYJKI



TANIO i ŁADNIE

Wypady sportowe i wczasy zimowe...

Dziś to już nie marzenia — to realna i dostępna dla każdej z nas rozrywka, radosny wypoczynek!

Skromny i gustowny strój narciarski na wczasach zastąpi wszystkie inne stroje. Jest uniwersalny, tak na narty jak i na zabawę. A jeżeli do walizeczki zabierzemy jeszcze dwie z narysowanych sukienek, to już komplet niemal luksusowy.

A teraz trochę szczegółów:

1. Komplet narciarski. Luźna bluzka z gładkiego sztucznego zamszu lub grubej jasnej flaneli. Rękawy szerokie wszyte reglanowo. Mankiety, ściągacz i kieszeń zrobione są ręcznie na drutach z wełny w tym samym kolorze co bluzka. Bluzka w kształcie pulowera wciągana jest przez głowę. Dla łatwiejszego wkładania bluzki, na ramionach zapięcie. Duża wygodna kieszeń szczelnie zakryta patką zapiętą na dwa guziki. (Możemy w niej śmiało schować wszystkie potrzebne drobiazgi i legitymację).

Spodnie ciemne o kroju norweskim. 2. Bardzo praktyczny na wszystkie okazje komplecik składający się z trzech części: bluzki, spódnicy, i bolerka.

Spódnica prosta. Przód i tył ozdobiony głęboką kontrafałdą. Z przodu w kontrafałdzie wpuszczane kieszenie. Ciemny szeroki zamszowy pasek przybrany dwoma klamrami.

Bolerko kimonowe ze szwem na wierzchu rękawa. Rękaw 3/4 zakończony wywinętym mankietem. Małe kołnierzyk i przecięte kieszonki uzupełniają całość bolerka. Gdy wybieramy się na spacer wkładamy bluzkę prostą sportową z węłkami w paski lub gładkiego płócienną. Na pójście do teatru czy na zebranie wkładamy strojnniejszą bluzkę z jedwabiu chińskiego uszytą w drobne zakładeczki.

Na zabawę czy imieniny, mamy strojnniejszą suknię z lekkiej wełny lub grubego jedwabiu. Stanik kimonowy ściśle dopasowany w talii zaszezwkami. Duże, wykładane fantazyjne mankiety wykończone barwnym materiałem. Kołnier lekko stojący, wywinęty, podbity tak jak wywinęcia mankietów, materiałem deseniowym. Spódnica wszyta miękko w pas za pomocą fałd puszczonej luźno. W bocznych fałdach kieszenie. Całości dodaje wdzięku kwiat przypięty do stanika.

ZWIERZĘTA MÓWIĄ LUDZKIM GŁOSEM

TADEUSZ KUR — Ilustrował CHARLIE

CHOINKA i pierwsza gwiazdka...

Ile rozkosznych wrażeń, ile precydujących złudzeń...

Czar tych wszystkich złudzeń jest jeszcze tak silny, a siła tradycji sięgającej pogaństwa tak czarowna, że na tę jedną noc pozwalamy ożywać legendom, oddajemy się dobrowolnie w niewolę zaprzeczonych uroków i ponęt, opromienionych wspomnieniami dziecięcych przeżyć.

Z biegiem lat każdy z nas odkładał tę, lub inną legendę do lamusa naiwnych baśni. Były zaś wśród nich i takie, co drogę do tego lamusa znajdowały same. Ot choćby legenda o Świętym Mikołaju, rozdawcy podarków dla grzecznych dzieci.



Pamiętam, że już jako mały podrostek podejrzewałem, że Święty Mikołaj jest tylko strasznie chytrym wymysłem osób starszych. Bo przecież przy jego pomocy zmuszali nas do grzeczności w ciągu całego roku. Podarki zaś dawali tylko raz na rok. Później wysłedziłem, że ojciec przywoził choinkę z lasu, a zabawki ze sklepiku w miasteczku. Wtedy już ostatecznie Święty Mikołaj musiał odmaszerować z mojego świata czarów. Fantazja moja zubożała o jednego baśniowego bohatera, ale mały umysł stał się bogatszy o jedno doświadczenie.

Stopniowo wyzwalałem się i z innych złud, z innych zwidów, z innych omamień. Nie dałem sobie tylko rady z jedną, jedyną legendą. I nawet dziś jeszcze nie umiałbym Wam powiedzieć — zrozumiecie to z dalszej opowieści — czy mogę już ją odesłać tam, gdzie odeszły pozostałe.

Chodzi mi o legendę o zwierzętach, które mają jakoby mówić ludzkim głosem w Noc Wigilijną.

Ilem ja trudów poniósł, ilem poświęcił nieprzespanych nocy, by się o tym przekonać. Nigdy jednak nie udało mi się sprawdzić, że tak jest. Nigdy także nie udało mi się dowiedzieć, że tak nie jest. Na moje wątpliwości, podsycane bezpłodnymi wyprawami do obór, stajen i chlewików, jakie robiłem od wielu lat każdej Nocy Wigilijnej, odpowiadało mi: „Bo masz widocznie jakiś grzech. A tylko człowiek bezwzględnie czysty i prawy, może być świadkiem tego wydarzenia”.

Chcąc nie chcąc musiałem przyjąć, że to ja jestem widocznie winny. Ale mimo wszystko uporczywie ponawiałem próby. Chodziłem do zwierząt o różnych porach. Zaglądałem do nich wraz z pierwszą gwiazdą. Chodziłem w czasie pasterki. Chodziłem i o „godzinie duchów” — północy. Zawsze jednak z tym samym skutkiem. Zniechęcony powiedziałem, że już nigdy więcej nie będę sobie tym głowy zaprzątał.

Postanowienia tego jednak nie dotrzymałem. I jak się okazało, na szczęście!

Kiedy w zeszłym roku zabłysła na niebie pierwsza gwiazda wigilijna, wróciłem znów myślą do podania, o którego prawdziwości, zdawało się, już na zawsze zwątpiłem. Ale to będzie już ostatni raz — powiedziałem uroczysto. — Jeżeli i tym razem nie będzie rezultatu, będę już raczej sam opowiadał krowom bajki.

Owe zimę spędzałem jednak święta w Warszawie, a nie — jak zwykle u rodziny na wsi. A gdzież ja tu znajdę jakąś pocziwą obórkę lub stajenkę? — pomyślałem zrozpaczony. Koń dorożkarski nie wydał mi się godny tej próby. Po dłuższym namyśle znalazłem wyjście. Jest przecież Ogród Zoologiczny!

Wkrótce znalazłem się przed ogrodzeniem z siatki, za którym czerniła się w mroku zwinna postać małej sarenki. Czekałem pierwszej gwiazdy. Czas dłużył się nieznośnie. Padał drobny śnieg. Nagle za Wisłą, gdzieś powyżej Cytadeli, na Żoliborzu, rozbłysło na niebie silnie migocące, niebieskie światło. No, nareszcie!

Sarenka podeszła do ogrodzenia bez cienia lęku. Pochyliłem się ku niej, wyciągnąłem rękę do miękkiego pyszczka. Usłyszałem cichy szep: „Otwórz wrota”. Było to dla mnie takie naturalne, że rozkaz wypełniłem bez zdziwienia. Sarenka wybiegła na aleję ogrodową, i biegnąc, rzuciła w moją stronę: „Chodź za mną. Zobaczysz sejm zwierząt. Ale pamiętaj, że nie wolno ci się odezwać, nawet jednym

słowem. Inaczej czar prysnie. My musielibyśmy czekać na nową okazję do przyszłego roku, a ty straciłbyś na rok pamięć, żebyś nikomu nie mógł zdradzić, co widziałeś”.

Przyrzekłem posłuszeństwo. Biegłem za sarenką nie wiem jak długo. I co dziwniejsze, nie czułem wcale zmęczenia, ni wysiłku. A drogi zrobiliśmy niemało. Mijaliśmy pola, zagajniki i wsie. W tym samym kierunku, co i my, spieszyło wiele zwierząt. Wreszcie byliśmy na miejscu.

Na dużej polanie w starym lesie siedziały kręgiem zwierzęta. Po jednej stronie krowy, woły, konie, owce, barany, żubry, dziki, sarny, antylopy, żyrafy, łosie, jelenie, zebry, kangury, króliki, zające, gęsi, kury i dziesiątki najprzeróżniejszych zwierząt i ptaków.

Po drugiej stronie skupiły się inne. Tych było znacznie mniej. Pamiętam, że byli między nimi lwy, tygrysy, lamparty, czarne pantery, rysie, niedźwiedzie, wilki, lisy, hieny, rosomaki, wydry, kuny, krokodyle, sępy i jastrzębie. Była też i stara sowa, która w dużej księdze zapisywała wypowiedzi zwierząt.

Na środku znajdowało się podwyższenie z sosnowych pniaków. Schodził właśnie z niego wspaniały kozioł górski, gorąco oklaskiwany przez lewą, trawozerną stronę zgromadzenia.

„Nad czym obradujecie?” — spytałem sarenki.

„Chcemy raz wreszcie zrobić porządek z drapieżnikami — odpowiedziała. — Dziś właśnie rada lasu powinna wydać ostateczny wyrok. Większość zwierząt i ptaków domaga się, aby im opłować kły i pazury. Był także wniosek, aby drapieżników pozamykać w klatkach i żywić ich warzywami i owocami. Ale widzę, że na trybunę wchodzi lis. Posłuchajmy, co powiedzą oskarżeni obwiesie”.

Lis wchodził na trybunę powoli. Majestatycznie rozwłóczył za sobą rudą kitę i kłaniał się raz po raz zgromadzeniu. Wydawało się, że jest bardzo pewny siebie. Widziałem jednak dobrze, że niespokojnie myszkował oczkami we wszystkie strony. Wreszcie zaczął:

„Drodzy przyjaciele... (dookoła rozległy się głośnie śmiechy)... drodzy przyjaciele, najdrożsi przyjaciele — ciągnął niespiesznie dalej — czyż nie mam prawa mówić „przyjaciele” o was, bez których żaden z nas żyć nie może. Przysięgam wam uroczysto, że bardzo was lubię. Ach, jak ja was lubię — mlasnął językiem głośno, zezując kaprawym okiem w stronę gęsi — a wy się odwiedzacie taką złośliwością.

„Wysłuchaliśmy uważnie waszych skarg. Daję wam ucciwać, lisie słowo, że poważnie nas one zaniepokoiły. Kierowani więc skrucą i prawdziwym współczuciem postanowiliśmy położyć kres wasniom i przelewom krwi w lesie. Zaproponujemy wam ugodę. Mam nadzieję, że projekt nasz zostanie przez was przyjęty z serdecznością, odpowiednią do dobrej woli, z jaką my go opracowaliśmy. Stanowisko nasze w szczegółach zreferuje wilk. Do widzenia, kochani, pa, pa, pa!”.

Wśród zwierząt panowała martwa cisza. Zapowiedź lisa była tak nieoczekiwana, że zwierzęta w widoczny sposób były zbite z tropu.

Wilk rozejrzał się, kłapnął szczękami na widok bielutkiej owieczki usiłującej przepchać się przez ciżbę do tyłu, wreszcie roześmiał się i rzekł:

„Nie bójcie się. Przecież dziś jest post. Poza tym jestem już po kolacji. Słyszeliście co mówił lis? Proponujemy wam pokój i zgodę.

„W jaki sposób chcemy do tego dojść? Należy przeprowadzić całkowite rozbrojenie zwierząt...”

„Brawo, brawo — rozległo się dokoła. — Rozbroić drapieżników!”

„...proszę mi nie przerywać — zwrócił uwagę wilk — proponujemy zatem rozbrojenie zwierząt. Ale rozbroić się muszą wszyscy. Również i wy”.

„Czy widziałeś — zwrócił się mówca do zająca — u którego wilka rogi? Czyż widziałeś u niedźwiedzia takie potężne kopyta, jakie ma koń? Spójrz na swo-



je otoczenie. Przecież to istna armia, zbrojna w nadzwyczaj niebezpieczne narzędzia mordy!

„Nikt z was nie powie, że widział kiedykolwiek, by tak był uzbrojony nawet najdzikszy wilk. A nade wszystko, rogi — oto jest zagadnienie, które

należy rozwiązać przede wszystkim — oświadczył wilk — Przecież nawet ten głupi baran, co mnie teraz przedrzeźnia, również bez rogów nie wyłazi na pastwisko, chociaż go pilnuje i pies i pastuch. A zapewniam was, że on napadać potrafi. W zeszłym roku tak mnie poczęstował, że do dziś mam zadyszkę i ból w boku. A przecież chciałem tylko zapytać, jak zdrowie jego babci”.

Wilk zszedł. Towarzyszyły mu oklaski z prawej strony, z której na trybunę spieszył następny mówca. Był to rosomak.

„Ja chciałem zwrócić uwagę — powiedział — że wśród zwierząt są w lesie takie, które mają niezwykle groźną broń w postaci zębów...”

„No, nareszcie mówicie o sobie!” — krzyknął królik.

„...takie ostre zęby — mówił dalej rosomak — to prawdziwa groźba dla otoczenia. Latem spotkałem na drodze bobra. Chciałem się z nim grzecznie przywitać i wyciągnąłem do niego rękę. A ten rozbójnik jednym cięciem zębów odkrajał mi ją, jak brzytwą. Żądam, aby bobry zmieniły zęby”.

Rosomak skończył. Do głosu już rwał się następny. Był to ryś. „Przychyłam się do zdania obu moich przedmówców — zaczął. — Jeszcze tylko chcę zwrócić na jedną rzecz uwagę. Jest wśród nas zwierzątko małe, ale niezwykle potężnie uzbrojone. Aż grzech, żeby takie smaczne... tfu, przepraszam, chciałem powiedzieć miłe zwierzątko, było naszpikowane setkami kolców. Jeżeli więc ma dojść do całkowitego odprężenia stosunków w lesie, to niech jeże — bo o nich myślę — zdadzą swoje agresywne uzbrojenie do tego samego magazynu, w którym będą złożone rogi”.

Do trybuny kolebał się szary niedźwiedź.

„Ja chciałem poruszyć inną sprawę. Oto są wśród nas zwierzęta, które swoim dzikim, nieobyczajnym zachowaniem zakłócają spokój i powagę lasu. Biegają niezwykle szybko. Migają wśród drzew jak błyskawice. To nie licuje z dostojnością lasu. Proponuję więc, aby sarny i zające chodziły po lesie bardziej majestatycznie, dostojnie, powoli. Ja także chciałbym za nimi nadążyć — oczywiście tylko w celach towarzyskich, czysto towarzyskich...”

Lewa strona zgromadzenia nie mogła się jeszcze zdecydować na odpowiedź. Wilk, chcąc przechylić szalę, wstąpił jeszcze raz na trybunę.

„Słyszeliście nasze propozycje, rozsądne i rzeczowe. Musicie je przyjąć. Gdy ich nie przyjmiecie, będzie to oznaczało, że knujecie wobec nas wrogie napastnicze zamiary. Bo przecież każdy z nas poświadczają, że dla pokojowego współżycia z nami, rogi i kopyta są wam zupełnie zbędne. Oczekujemy, że odpowiednie wnioski uchwalicie jeszcze na dzisiejszej radzie. Wykonaniem uchwały, czyli dokonaniem spisu uzbrojenia zwierząt, a następnie odpilnowaniem wam rogów, zajmijmy się sami. Skończyłem”.

Niezwykły tupet wilka zdawało się, że odniósł skutek. Zwierzęta poczęły naradzać się między sobą. Kręciły głowami. Widać było, że zdania są podzielone.

Drapieżniki tymczasem poczęły okrażać polanę.

Zapomniałem o przestrodze sarenki i krzyknąłem głośno: „Uważajcie na drapieżników!”

Na polanie zrobił się ruch i zamieszanie. Zwierzęta jedno przez drugie poczęły rwać się do ucieczki. Ktoś z nich walnął mnie kopytem w głowę. Zapadłem w mrok.

Jak długo krążyłem po królestwie cieni, nie wiem. Zbudziły mnie głosy. Nie znajdowałem się jednak w lesie. Była to jakaś wielka sala po brzegi wypełniona ludźmi. Nie znałem ich. Na środku stało podwyższenie, na które ciągle ktoś wchodził i wygłaszał mowę.

Nagle uciszyło się. Na trybunę wchodził nowy mówca. Czytał coś długo z kartki. W głowie szumiało mi jeszcze nieznośnie. Słowa mówcy z trudem przebijały się do świadomości przez obolałą czaszkę. Nie mogłem nic pojąć. Wreszcie po chwili zacząłem łapać poszczególne wątki:

„Słyszeliście nasze propozycje, rozsądne i rzeczowe propozycje. Musicie je przyjąć. Gdy ich nie przyjmiecie, będzie to oznaczało, że knujecie wobec nas wrogie, napastnicze zamiary. Wtedy będziemy zdecydowanie i z uporem kontynuować w całej pełni budowę takich sił, jakich istnienia wymagają nasze interesy i ich bezpieczeństwo...”

Przypomniało mi się wszystko. Nachyliłem się do najbliższego sąsiada:

„Cóż to, pozwalacie dalej mówić wilkowi? Nie wytłukliście mu zębów?”

Sąsiad roześmiał się.

„A to wspaniałe określenie, niech go kule biją. Dobrze powiedziane, wilki ha, ha, ha... Ale to, mój przyjacielu, więcej niż wilk, to sam amerykański minister spraw zagranicznych, Acheson!”

„A co on tu robi? — zapytałem.

„Odczytuje Zgromadzeniu Ogólnemu Narodów Zjednoczonych amerykański projekt „rozbrojenia”.

I tak moi drodzy, w dość niezwykle sposób sprawdziła się zarówno legenda wigilijna o zwierzętach, mówiących ludzkim głosem, jak i przysłowie ludowe o zwierzętach w ludzkiej skórze.

...noc mnie wygnała, noc mnie przygnała

Dokończenie ze str. 21

go wielkiego dziennika klasowego 800 tysięcy uczniów. 17-letni ZMP-owiec Stanisław Siembida, sam prosto ze szkoły, poszedł uczyć innych — we wsi Ciosny koło Biłgoraja. Pisze spokojnie i bez patosu, jak musiał walczyć o frekwencję, na przekór podszeptom wroga, który pojmował dobrze, że oświata na wsi jest sprzeczna z jego interesami: „...ob. W. M. (opisuje ten nauczyciel) siedzi z książkami i zeszytami na kurs, ale „koleżka-bogacz“ namówił go na kieliszek. Gdy kursanci szli na lekcję do szkoły, to tu i ówdzie rozlegały się głosy „abece“, „alfabety“ — tak, że mniej odważni kursanci to tak się cichutko przekradali do szkoły, aby ich nikt nie widział — jak gdyby popełnili jaką zbrodnię...”

Potem mamy już radośniejsze akordy. Cytowana uprzednio Teofila Masalska, której wspomnienia mają wybitną wartość literacką, daje taką migawkę z egzaminu: „Przez drzwi zagląda podniecona twarz Włodka — ośmioletniego syna jednej ze zdających. — Mamo, mamo już wiem — „późno“ pisze się przez „o“ zamknąć!”

Aż nadszedł wreszcie dzień rozdania świadectw, w którym Masalska zanotowała: „...wręcza mi małą, czerwoną prymulkę w białym wazonie i mówi swym matowym, lekko drżącym w tej chwili głosem: To od nas, za pani pracę... i cierpliwość nad nami...”

Wielu z analfabetów mogło awansować, mogło wykorzystać swe wrodzone zdolności. „Jakie to szczęście — pisze Stanisław Domagała z Łodzi — gdy własną ręką mogę napisać list do syna w wojsku. Po ukończeniu kursu, dostałem awans z robotnika na majstra. Później chodziłem na kurs przedzalniczy i kurs mistrzowski...” Awans społeczny byłego analfabety, który wreszcie może mieć bezpośredni dostęp do nauki i wszelkich źródeł wiedzy, jest dziś na porządku dziennym.

Ludzie ci nadrabiają zaniechania swych młodych lat, kiedy bez własnej winy żyć musieli w ciemnocie. We wsi Chorzyna w pow. wieluńskim 50-letnia Maria Brzozowska powiedziała mi w rozmowie: „Ach gdybym to się ja mogła uczyć za młodu — byłam zdolna — przecież ja z pamięci powtórzyć mogłam kazanie niedzielne usłyszane w kościele!”

SPOTKANIE Z PROBLEMEM

Do tej to właśnie podwieluńskiej wsi wybrałem się na spotkanie tego wielkiego problemu, którym jest walka z analfabetyzmem. Wieś Chorzyna nie różni się od innych w tym zakresie — nie poszło tam łatwiej ani trudniej niż gdzie indziej.

Wieś Chorzyna nie ma jeszcze prądu elektrycznego. Do najbliższej stacji kolejowej jest 10 km, do urzędu pocztowego — 4 km. Ziemia niezbyt urodzajna podzielona jest przeważnie między drobne gospodarstwa — 71 ma poniżej 5 ha, 7 — od 5 do 10 ha, zaś 6 gospodarstw ma od 10 do 15 ha.

Na ziemi tej żyje 463 ludzi i o nich właśnie będę opowiadał, gdyż sprawa walki z ciemnotą jest sprawą człowieka. Wszyscy mieszkańcy Chorzyny są rolnikami; żyje co prawda między nimi jeden wykwalifikowany kowal i jeden kowal oraz dwóch samouków-szewców i jeden stolarz, ale rzemieślnio swoje uważają oni za zajęcie poboczne.

Na tych karłowatych gospodarstwach ludzie nie mogą żyć. We wsi istniał zawsze przed wojną głód pracy. Rokrocznie do polskiego starostwa w Wieluniu zjeżdżali z Rzeszy urzędnicy hitlerowskiego Arbeitsamtu, zajmujący się dostawą taniej, polskiej siły roboczej do wielkich majątków w Niemczech. Razem z urzędnikami przybywali lekarze, którzy starannie oglądali towar, odrzucając gorsze sztuki, nie dające gwarancji, że pracować będą „bez remontu“ od

świt do nocy. Pokusa katorżniczej pracy za kilka fenigów była tak silna, że chłopci-nędzarze wtykali „komu trzeba“ łapówki, dochodzące nieraz do 20 proc. spodziewanego zarobku za cały sezon (od wiosny do jesieni) — byle tylko znaleźć łaskę w oczach handlarzy żywym towarem. Jeżeli nie mieli nawet na łapówkę, to szli przez „zieloną granicę“. Gdy nawet udało im się przejść i uniknąć więzienia, to zaraz po drugiej stronie granicy czekali na nich zawodowi łapacze, którzy wykorzystując nielegalną sytuację polskich chłopów, jeszcze bardziej bezwzględnie zaciskali śrubę wyzysku.

„CHRZESTNY“ BUCZEK UCZYŁ DZIECI SWOJE

Przed I Wojną Światową, najbliższa szkoła mieściła się w Strobinie i czynna była tylko od listopada do kwietnia. Nieliczni „ochotnicy“ człapali codziennie cztery kilometry po błocie w jedną stronę — kiedy była szaruga, brnęli przez zaspy śnieżne — w zimie.

Przez cały okres istnienia tej szkoły, ukończyło ją „aż“ dwóch (!) chłopców z Chorzyny. Kilkunastu znowu, drżąc ze strachu przed carską żandarmerią, uczęszczało pokryjomu do „chrzestnego“ Jakuba Buczka, który umiając sam ledwie czytać i pisać, przekazywał w swej mrocznej izbie skąpą wiedzę wioskowym chłopakom. Honorarium uczniowie płacili robotniczą, odpracowując naukę na polu Buczka. Nauka taka przeważnie nie pozostawiała po sobie trwałych śladów: nie mając praktyki w czytaniu czy pisanu, „absolwenci“ nauk Jakuba Buczka powracali zwykle w mrok analfabetyzmu, który — jak mówią księżki kościelne z owych czasów — obejmował wtedy 84 proc. mieszkańców wsi. Po I Wojnie Światowej istniała w Chorzynie aż do 1927 roku tylko jednoklasowa szkoła publiczna. W ciągu ośmiu lat, aż sześciu nauczycieli wstępowało kolejno na katedrę, by wbić naukę w płowe główki miejscowych dzieci; tylko jeden z tych nauczycieli miał kwalifikacje zawodowe — reszta znalazła się w szkole zupełnie przypadkowo.

Przymus szkolny był fikcją: do szkoły chodzili tylko te dzieci, które miały na to akurat ochotę i których rodzice mogli sobie pozwolić na luksus wyrzeczenia się jednej pary rąk do pracy. Zachowane z tego czasu dzienniki szkolne wykazują większą obecność tylko zimą. Jesienią i wiosną więcej niż połowa dzieci zapędzana była do prac w gospodarstwie. W izbie szkolnej w starych, czteromiejscowych ławkach, upychano niekiedy i siedmioro dzieci; nauka w ciasnocie, prowadzona przez nieudolnych amatorów, rzadko tylko trafiała do umysłów i serc.

Z czasem szkołę rozbudowano — ale faktycznie po reformie „jędrzejewiczowskiej“ nic się nie zmieniło; dwaj nauczyciele nie mogli przecież prowadzić czterech klas przy teoretycznych siedmiu odmianach. Znowu mnożyły się szeregi analfabetów powrotnych, nie mówiąc już o tym, że aż do 1945 roku ani jedno dziecko z Chorzyny nie znalazło się w gimnazjum.

Do roku 1930 do wsi listonosz w ogóle nie dochodził, później zaś, aż do wojny, zjawiał się dwa razy w tygodniu. Przynosił w torbie dla całej wsi jeden egzemplarz „Gazety Świątecznej“ — do I Wojny, później zaś 11 egzemplarzy czasopism — to była cała łączność wsi ze światem aż do wybuchu II Wojny Światowej.

NIEBIESKIE KARTKI POSTĘPU

Jakkolwiek we wsi była mała biblioteczka szkolna, korzystały z niej tylko dzieci i to w bardzo małym zakresie.

Jakże sytuacja wygląda dziś? Zajrzyjmy listonoszowi do jego torby, wejdźmy do biblioteki, przełiczmy dzieci w szkole i poza szkołą!

Listonosz wiejski Józef Lewara zjawia się teraz codziennie w Chorzynie — jak i w innych wsiach, które leżą na 30-kilometrowym szlaku jego rejonu. Chorzyna abonuje dziś 95 egzemplarzy czasopism, czyli 1 egzemplarz na 5 mieszkańców. Jest to już oczywiście pokłosie zwycięstwa nad analfabetyzmem — podobnie jak i to, że w okresie roku dziesięciokrotnie wzrosła ilość książek, jakie Lewara sprzedaje na wsi. Na miejscu jest stała biblioteczka szkolna z 400 tomami, z której coraz częściej korzystają dorośli a co miesiąc przybywa z gminy wędrowna skrzynia z 50 książkami, które po przeczytaniu wędrują gdzie indziej. Kartotekę prowadzą skrupulatnie same dzieci szkolne, notując na niebieskich kartkach nazwiska czytelników i numery książek. Sprawdzam tytuły — są to przeważnie książki rolnicze oraz popularno - naukowe. Rośnie stale plik niebieskich kartek, świadcząc najbardziej wymownie o postępach czytelnictwa we wsi Chorzyna, gdzie — nie licząc książek nabytych na własność — jeden mieszkaniec przeczytał w roku zeszłym przeciętnie 8 książek.

W siedmioklasowej obecnie szkole w Chorzynie uczą się teraz wszystkie miejscowe dzieci — prócz jednej niemowcy, która ma jechać do zakładu specjalnego. Z frekwencją niema żadnych kłopotów — jest to wyraźny wskaźnik znacznej poprawy bytu materialnego wsi.

W szkole zjawilem się niemal równocześnie z wizytatorem. Pamiętałem ponury, niespokojny nastrój wizytacji z tych czasów, kiedy sam chodziłem do szkoły; w Chorzynie natomiast dzieci, powitały ukazanie się znajomej im postaci wizytatora z radością: „Ho, ho — stary przyjechał, będzie „weselo!“ Istotnie widziałem, jak „stary“ — kierownik wydziału oświaty PRN w Wieluniu, Szczepan Jaworski, siedział potem okrakiem na ławce szkolnej i żartując z dziećmi, badał — bez całego nastroju grozy — stan ich postępów. Później już, kiedy rozmawialiśmy o walce z analfabetyzmem, dowiedziałem się, że tak samo nie stracił spokoju i uśmiechu nawet wtedy, kiedy gestapo piotrkowskie skrepiowało mu ręce drutem kolczastym i wiodło na rozstrzelanie.

Ale śledźmy dalej sprawy wychowania nowych ludzi na wsi: 15 chłopców i 5 dziewcząt z Chorzyny kształci się już w szkołach średnich — tylko patrzeć, a czołówki tej wsi dojdą do uniwersytetu i politechniki.

JEDNA Z WIELU

2 października 1949 roku, Chorzyna stała się jedną z wielu wsi polskich, które ruszyły do szturmowania ciemnoty. W tym czasie, 10 proc. dorosłych mieszkańców wsi do lat 50 (tylko ci objęci są szkoleniem) nie umiało czytać ani pisać. Sprawa nie była łatwa; trudno jest dorosłemu człowiekowi przynależać się do swego kalectwa, trudno przemoć wstyd i zasiać na ławie szkolnej, trudno wchodzić do dorosłej głowy litery i znaki.

Ignacy Kałuza i jego żona Maria — to para nauczycieli, to dwie tylko osoby z wielkiej bezimiennnej armii, która owej jesieni ruszyła do historycznej ofensywy w całej Polsce. Pomagali im ludzie z gminnej rady narodowej, którzy znaleźli czas i ochotę na to, by chodzić od chaty do chaty i nakłaniać do pójsia na kurs — skoro tylko ktoś z zapisanych się nie zjawił. Współdziałały dzieci szkolne, które pomagały dorosłym „odrabiać“ lekcje. I tak aż do kwietnia ubiegłego roku, 3 razy w tygodniu po trzy godziny żarzyło się światło w chorzynskiej szkole i mierzono, słowo po słowie, odczytywały chiłskie oczy, wiodące za spracowanymi palcami, sunącymi po gładkim papierze zeszytu. Egzamin zdali wszyscy — a potem 7 maja 1950 roku przystanął we wsi wielki autobus, który zawiózł tych chłopów z Chorzyny, dla których otwarły się wrota do naszych książek i gazet, do naszej wiedzy — do Sieradza, gdzie otrzymali dyplomy od Stefana Matuszewskiego, odpowiadającego za walkę z analfabetyzmem w całym kraju. Większość tych ludzi nie ruszyła się w swym życiu poza Chorzynę — było to dla nich wielkie przeżycie o którym dziś jeszcze tak



Ignacy Kałuza wraz z bezimienną armią innych nauczycieli szturmował ciemnotę 800 tys. ludzi w Polsce.

barwnie i dokładnie opowiadają, jak gdyby działo to się zaledwie wczoraj...

I tak chłopci ze wsi Chorzyna — jak i z tysięcy innych wsi w całej Polsce — wkroczyli do szeregów ludzi dnia dzisiejszego, albowiem „nie można budować socjalizmu w ciemnocie“. To oni są nowymi czytelnikami prasy i książek dowożonych przez listonosza i gromadzonych w bibliotece, oni też będą korzystać z zespołów dobrego czytania, które bezwarunkowo trzeba stworzyć w tej wsi, jeżeli się chce pogłębić i utrwalić osiągnięcia kursu. Kilku z absolwentów wyjechało na prace sezonowe do cukrowni na Ziemiach Zachodnich, reszta zaś nadal pracuje na swej roli. Ale to już nie są ci sami co dawniej ludzie: własnoręcznie podpisują wszelkie dokumenty, piszą listy do rodzin, czytają z namaszczeniem rozporządzenia i komunikaty, czytają książki i gazety.

To się stało w Polsce w minionych miesiącach, i to jako jedno z osiągnięć naszego pokolenia przejdzie do historii naszych czasów.

L. WOLANOWSKI

KUPON KONKURSOWY „ŚWIATA“

Wyciąć i dołączyć do rozwiązania konkursu „Przysłowia mądrością narodów“. Termin odpowiedzi: 23 stycznia 1952 roku.

Imię i nazwisko

Zawód

Dokładny adres

Odpowiedzi na konkurs adresować: Redakcja Tyg. „ŚWIAT“, Warszawa, Nowy Świat Nr 58. Zaznaczyć na kopercie: Konkurs.

SWIAT TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefon: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala: 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12. tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch“, Odział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr 1-21040/110.

Zakłady Wkłódnokowe RSW „Prasa“. Warszawa, Okopowa 58. 2-B-45899

Nasz nowy Konkurs

PRZYSŁOWIA MĄDROŚCIĄ NARODÓW

PROJEKTOWAŁ CHARLIE

Zamieszczamy 10 rysunków, z których każdy ilustruje jedno znane przysłowie polskie.

Pełny tekst tych przysłów należy przesłać do redakcji wraz z kuponem znajdującym się na str. 31. Za trafne odpowiedzi przyznanych będzie 15 cennych nagród książkowych.

Dodatkowe nagrody otrzymają Czytelnicy, którzy do rozwiązania dołączą trafny i dowcipny opis sytuacji, ilustrującej każde przysłowie.

Rozwiązanie prosimy nadsyłać do dnia 23 stycznia 1952 r. na adres redakcji.



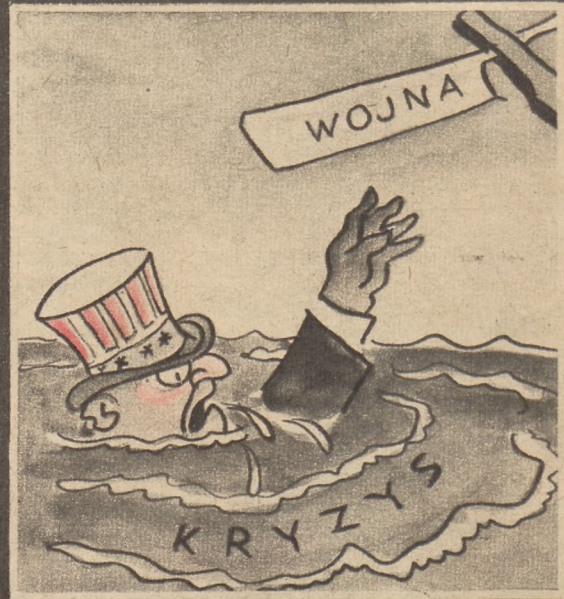
1



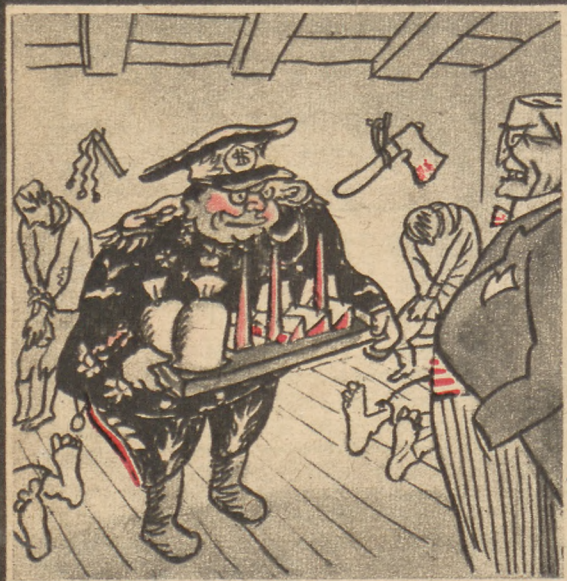
2



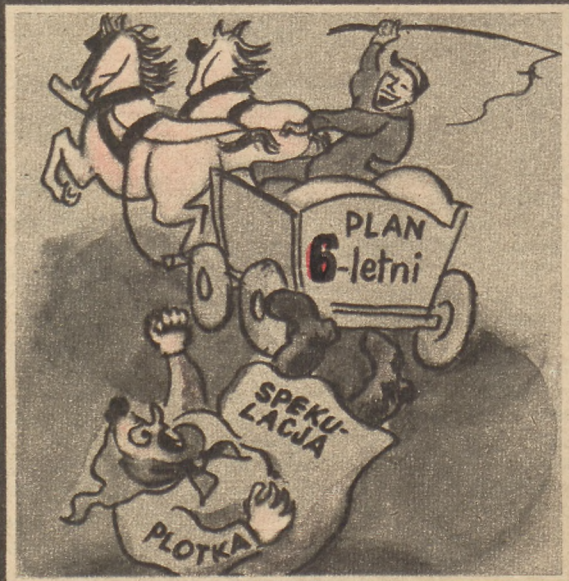
3



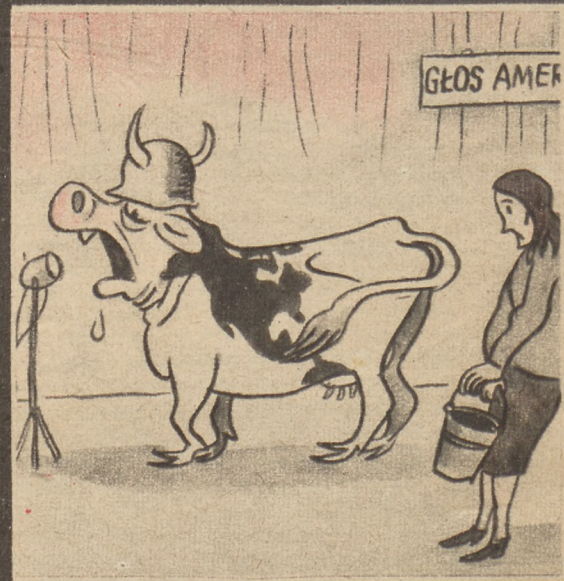
4



5



6



7



8



9



10